

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

nr 22

Rok I. Łódź, 27 lipca 1958 r. Cena 1 zł

Gazety piszą o defiladzie. Gazety wybijają na pierwszy plan mniej lub więcej sensacyjne tytuły. Piszą nawet o defiladzie Tysiąclecia. O sile odrodzonego Wojska Polskiego. O mobilizacji sił narodu. O Łodzi, która przybrała odświętne szaty.

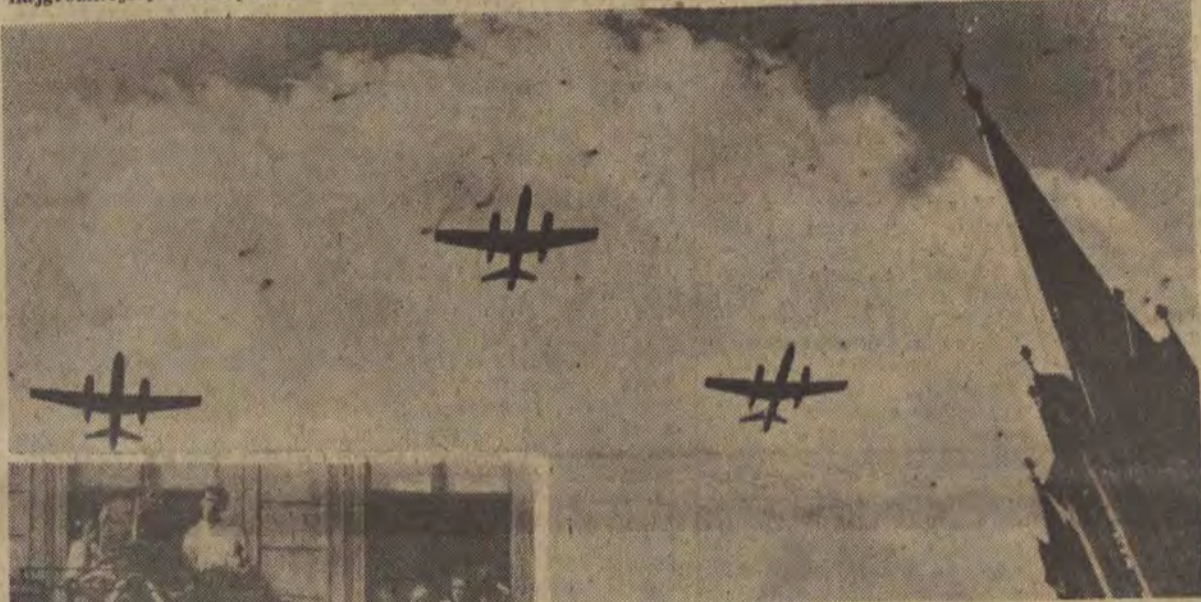
Nie byłem na trybunie honorowej. Nie oglądałem zagranicznych dyplomatów. Nie wiem, w jaki sposób reagowali na defiladę. Zazwyczaj czujnie śledzę prasę i radio. Skrzętnie wyląwiam wszelkie wiadomości o Polsce. Interesuję się tym, co o nas mówią i piszą. Ale wczoraj było mi to obojętne. Ktoś powiedział: fotografują jak zawzięci. Niech fotografują. Niech wywołują klisze. Niech śledzą, co na Piotrkowskiej im pokazano.

Nie wiem, czy nasi goście byli zafascynowani, czy nie. Rozczarowani czy ucieszeni. Z pewnością jednak musieli zobaczyć rzecz, która i im wydała się zdumiewająca. Zobaczyli ulicę prostego, robotniczego miasta. Zobaczyli ludzi tego miasta. Ludzi na dachach, na balkonach, przybudówkach, murach. Ludzi, którzy nie przyszli wyłącznie na widowisko. Ludzi połączonych najróżniejszymi więzami z maszerującymi żołnierzami. Ludzi w różnoraki sposób okazujących temu wojsku serce.

To serce robotnika było dla jednych najpiękniejszym, a dla drugich najgroźniejszym odkryciem.



SERCE



Tekst: TADEUSZ MARTYŃSKI
Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI



KTO WINIEN? WESELE BORYNY

TADEUSZ PAPIER

Na ławie oskarżonych siedzi młoda, dobrze zbudowana dziewczyna, o bladej cerze, jasnych, niebieskich oczach i włosach lekko rudawych. Rocznik trzydziesty dziewięty — ma więc 19 lat. Siedzi nieruchomo, w asyście dwóch milicjantów, czeka na rozprawę sądową. Na aktach sprawy wykaligrafowany jest lakoniczny napis: „Helena Ratajczyk art. 223”. Młoda dziewczyna popełniła morderstwo.

W gazetach codziennych ukazały się w związku z jej osobą reportaże pod sensacyjnymi tytułami — „Różnie umiera człowiek”, „Dramat głowieński przed Sądem”, „Prokurator domaga się surowego wymiaru kary”, „Rozprawa przy drzwiach zamkniętych”...

Cały proces nabrał posmaku grubszego sensacji. Aparat Sprawiedliwości spełnił swą rolę. Odsłonił zgniliznę moralną młodej dziewczyny i wydał wyrok skazujący na pięćnaście lat więzienia. Ale nie o sensację tu chodzi. Nie mam zamiaru oceniać przebiegu rozprawy, ani analizować linii obrony. Chcę zastanowić się nad kilkoma wnioskami, które nasunęły mi się w czasie słuchania przewodu sądowego. Nie moja to rzecz sądzić, czy oskarżona zasługuje na taki wymiar kary czy też nie. Nie wnioskuję w meritum sprawy — faktem jest, że dziewczyna popełniła zbrodnię. Interesuje mnie jednak droga, jaką do tego doszła, ciekawą mnie źródła czynu.

Przed Sądem przewija się pięćdziesięciu świadków. Jakich bogaty materiał socjologiczny! Odpowiadają na pytania Sądu, związane z osobą oskarżonej. Odpowiedzi są krótkie, treściwe: „tak” albo „nie”, „nie wiem” albo „nie znam”...

A jednocześnie, ileż nę zostało powiedziane! Ten podtekst wyzywający w zeznaniach świadków jest najbardziej ciekawy. Sąd nie musi prowadzić głębokiej analizy socjologicznej, nie musi poszukiwać wpływów otoczenia na oskarżoną, szerokiach przyczyn urabiania czy wypaczenia młodego charakteru. Sąd ogranicza się zazwyczaj tylko do ogólnej oceny sylwetki oskarżonej, związanej z prowadzoną sprawą.

Ale przed Sądem przewija się świadkowie. Są tu nobliwi, obywatela miasta Główna, ojcowie rodziny, czcigodne matrony, przedstawiciele inteligencji i przedstawiciele władzy. Ławy dla publiczności wypełniają mieszkańcy Główna. Rozmawiałem z tymi ludźmi — wszyscy byli zgodni co do tego, że powinieli zapisać wyrok skazujący. Opinia mieszkańców miasta jest przeciwko oskarżonej. Żony boją się o swych mężów, matki drżą o synów... Mimo woli człowiek pyta — czy jedna dziesięćnaścieletnia dziewczyna potrafi zdemoralizować pięćnaścieletnie miasto? Skąd ten strach i obawa, skąd wypływa ta chęć poczucia się młodej dziewczyny?

...Zeznaje kolejny świadek. Zna oskarżoną. Z widzenia. Stwierdza, że się ze prowadził. Piła wódkę. Chodziła z chłopcami. Odchodzi od stołu sędziowskiego z uczuciem ulgi. Ociera spoczone czoło. Całe szczęście, że Sąd nie zapytał o nic więcej. Bóg jakżeby to wyglądało? Szanowany powszechnie człowiek, swego czasu pełnił wysoką funkcję administracyjną, musiałby się przyznać, że oskarżona zna od kilku lat, i to nie tylko z widzenia. Zgwałcił ją u siebie w gabinecie, gdy miała 14 lat... Zgwałcił — to może zbyt mocne słowo, bo oskarżona

przyznała, że nie krzyczała. Zresztą, stało się to po godzinach pracy, możliwe też że dziewczyna powodowała ciekawość... Świadek siada teraz na sali i przysłuchuje się rozprawie. Jest w zgodzie ze swym sumieniem, odpowiada na pytania Sądu. Ktoż może mieć pretensje do niego o to, co było pięć lat temu? Stara historia, nie ma nic wspólnego z tą sprawą... Zeznaje następny świadek. Stwierdza, że oskarżona prowadziła się niemoralnie. Co to znaczy? Ciągłe włóczyła się z kimś innym, piła wódkę... Ojciec oskarżonej jest zdumiony, pracuje dorywczo. Matka prowadzi dom. W domu pięcioro dzieci, z których Helena jest najmłodszą. Pozostałe dzieci są z poprzedniego małżeństwa matki. Helena... cóż, dziecko trudne do prowadzenia, również i nauczycielem sprawiała kłopoty. W piętnastym roku życia miała stałego kochanka — tym razem już z wyboru. Edukację skończyła na szóstej klasie. Ojciec wyjaśnia, że nie miała chęci dalej się uczyć. Nigdzie nie pracowała, miała dużo wolnego czasu. Typowe dziecko, puszczane samopas, nie pilnowane zbyt, nie kierowane. Razem ze swym chłopcem zaplanowali poważniejszy „wypadek”. Jeden ze znajomych, kaleka, miał zegarek i złoty łańcuszek. Spychają kalekę do stawu, odbierają złoto. Za współudział w morderstwie, Helena, jako niepełnoletnia, zostaje skierowana do Zakładu Poprawczego, a jej chłopiec idzie do więzienia na 8 lat.

Z oficjalnych źródeł wiemy, że Helena podczas pobytu w „poprawczaku” skończyła ósmą klasę, uczyła się także krawiectwa. Czego jeszcze nauczyła się Helena w ciągu tych dwóch lat? Uzupełniała swoją wiedzę — czytywała książki, których nie ma w wykazie bibliotecznym. Książki te krążyły wśród dziewcząt, czytywały je z wypiekami na twarzy. Helenie utkwiła w pamięci książka o tragicznej historii prostytutki — „Pod liściem pomarańczowego kwiecica”. Karmiona taką lekturą, zdrowa, dobrze fizycznie rozwinięta szesnastoletnia kobieta szuka źródeł zaspokojenia zmysłów, ale w domu poprawczym nie ma możliwości; pozostaje tylko onanizm. Odbija się to, oczywiście, na jej psychice, w każdym razie opuszcza mury „poprawczaka” ze wzmocnioną pobudliwością seksualną. Przed Sądem staje następny świadek. Helena piła

wódkę w kotłowni Łaźni Miejskiej. Sąd nie zapytał, kto ją tam zaprosił, kto jej podał pierwszą szklanke. Nie wiemy też, czy skończyła się na samym picciu. Ale skoro Sąd nie zapytał, świadek o tym nie mówił. Po co się narażać, kiedy to wstyd? W ławkach siedzi jego żona, sąsiedzi. Dopiero by go wzięli na języki! A przecież on, spokojny obywatel miasta Główna nie jest nic winien. To nie on, a Helena jest tutaj oskarżona...

Następny świadek Helena ukradła mu czterysta złotych. Był wtedy mocno pijany... A skąd wie, że to Helena? Bo ona tam się wtedy kręciła... Świadek nerwowo wyłamuje sobie palce. Możliwe, że Helena zabrała mu zwitek banknotów — może traktowała to jako zapłatę za towarzystwo? A może pijany zgubił pieniądze i chciał się jakoś wyłudzić przed żoną? Nikt przecież nie jest na tyle głupi, żeby się teraz publicznie przyznawać, że on z tą Heleną, z tą szmatą, prostytutką, oskarżoną... Długi jest korowód świadków.

„Opinia społeczeństwa miasta Główna mówi, że Helena źle się prowadziła... Kto to „społeczeństwo” stanowi? W Głównie wszyscy się znają, jak to zwykle bywa w małych miasteczkach. Opinia jest tu lepka — gdy raz przylgnie, niczym jej nie zmażesz. Przerzucisz winę na kogo innego i już jesteś arogantem. Świadek mówi — „Helena ma złą opinię”, ale nikt nie mógł podać żadnego faktu, nie obciążając równocześnie siebie. Helena jest, niestety, nieodłączną częścią społeczeństwa.

„Śionek miał 71 lat, ale lubił sobie i wypić, a i damskim towarzystwem nie gardził. W ubiegłym roku, za umiłenie mu kilku chwil, dał Helenie skórzaną teczkę, która poprzedniego dnia zginęła z biura PSS. Śionek był tam nocnym stróżem. Helena ma dopiero dziewiętnaście lat. W dniu 7.I. Śionek spotkał Helenę i zaprosił ją do siebie na wieczór. Żona wychodziła do córki, więc „chata” była wolna. Śionek postarał się i o „szkło” — dwie butelki wina. Helena przyszła punktualnie, wiedząc czego stary będzie od niej żądał. Uprzejmy gospodarz obiecał za „przystępny” dać jej 200 złotych. Figlarny starszek usiłował ją zmusić do czynu, który można określić jako zboczenie seksualne. Wtedy dziewczyna, która go-

dziła się na odbyte normalnego stosunku, zdenerwowała się i uderzyła go flaszka w głowę. Rozpoczęła się walka. Śionek usiłował przycisnąć jej głowę do swych kolan... Helena użyła żelaznej klamry, leżącej na stole. Zadała mu kilka ran, a następnie chwyciła za gardło... Zeznają świadkowie: „Śionek był porządnym człowiekiem, spokojnym, czasem lubił sobie wypić, ale nalogowym pijakiem nie był... Śionek był wesołym człowiekiem, lubił pożartować. Tak to „opinia”, „społeczeństwo” wybiela się, przeobraża w aniołów przed Sądem. Wszystkie są dobrzy, spokojni, wesele, pracują dla rodziny, a tylko oskarżona zła.

Helena zabrała znalezione przy Śionku sześćset złotych, od rodziców dostaje dwieście i tej nocy jedzie do Wrocławia, szukać pracy. Z poznanym w pociągu chłopcem udaje się do swej koleżanki B., którą poznała jeszcze w „poprawczaku”. B. jest rejestrowana w kartotekach milicji jako prostytutka. B. ma kochanka (znaną, dwoje dzieci). W czwórce bawia się w lokalach. Helena płaci rachunki. Gdy pieniądze skończyły się Helena wraca do domu, gdzie już czeka na nią milicja.

W czasie przerwy w rozprawie rozmawiam ze starszą kobietą. „Pyta pan, czyja to jest wina. Rodzice winni. Co to znaczy, żeby matka nie spytała córki, dlaczego późno wraca do domu. Dlaczego pozwalała, żeby córka szwendala się wieczorami”? Korowód świadków skończył się. Przez moment wyobraziłem sobie taką sytuację: młoda dziewczyna zarzuca na ramiona tożę prokuratora. Ciężkie oskarżenie dziewczęcy pod kasetonami sufitu. A któż ma usiąść obok, na ławie oskarżonych? Kto? Czyżby proces przeciwko miastu Główna? Nie! Bądźmy spokojni, obywateli. Skazana Helena nie będzie zakłócać bogobojnego żywota niektórych obywateli miasta Główna. Jej smutne życie będzie można doskonale wykorzystać w pracy pedagogicznej nad młodzieżą. — „Jakie to są straszne skutki, gdy ktoś nie wraca wieczorami do domu. Prawda”? My nie jesteśmy winni, nie jesteśmy współodpowiedzialni za morderstwo, my, ludzie spokojni, kądźemy jej wracać na noc do domu. Czemu nas Helena nie słuchała? To jej wina, tylko jej.

Rzadko kiedy oglądać można taki jubileusz. Dwadzieścia pięć lat temu powstał w Lipcach zespół, który wystawił widowisko ludowe „Wesele Boryny”, oparte na tekście „Chłopów”. Na pierwsze przedstawienie zjechało się ponad trzy tysiące osób. Po dwudziestu pięciu latach ten zespół, po części w tej samej obsadzie, wstępuje na nowo na scenę. I znowu zjeżdża do Lipiec ponad trzy tysiące gości. Niektórzy obliczają na cztery tysiące. Inni na pięć.

Ludzie wiszą na drzewach. Stodoła służy za galerię. Spotyka się przybylsów z Łodzi, ze Skierniewic, skąd kto chce. Kramarze odpustowi rozłożyli swoje towary na chodniku, tuż za kościołem. Jeden z nich pochodzi z Końskich. Skąd wiedział, że w Lipcach jest tak święto? Ano, wrócił spod Warszawy, namówił go, żeby został, i zaczął. Wylicza na pamięć ważniejsze odpusty w Polsce. Warto jechać np. do Łęka. Ile zarabia? Chyba mu nie starczy na drogę? Uśmiecha się porozumiewawczo: różnie bywa, wyciągnie się i pięć tysięcy. Przy stawie rozłożył się fotograf ze sztucznym semochodem. Niedaleko strzelnica. W stawie brudna woda. Kobiety moczą nogi. Kończy się suma. Dźwięk dzwonów kościelnych miesza się z melodią „Mazowsza”, płynącą z głośnika. Handlarz z Końskich prosi o papierosa. Na drodze sznur bryczek. Dziewczyna w życie zakładają buty. Jedną z nich podaje się za córkę Boryny. Trzeba przyznać, że dziewczęta są śliczne. Strojem ludowym ani na lekarstwo. Kto w pasiakach, ten wiadomo, że za chwilę wystąpi na scenie. Zaczęło się przedstawienie. Z nieba ukrop. Drzewa i stodoła dźwięczą nowych wzdów. Oczywiście, że nie trzeba przykładać szkiełka krytyka teatralnego. Potrzebne są tu innego rodzaju spostrzeżenia. Poza aktorami, poza tym wszystkim — Reymont i jego dzieło. Czy wszystkie aktualia „Chłopów” zwiertzały? Konflikt eweritowy o las już dawno nieaktualny, ale patrzymy: „Popróbcie wodę nosić przetakiem, a obaczyście, co nanosić, tak jest i z biedą. Już takie urządzenie boskie jest, to widzi mi się i ostat-

nie, że jeden ma, a drugi wiać po polu łapie”. Niezbyt to rewglacyjne przypomnienie, które przecież nie zasłania oczywistej prawdy „Chłopów”, nie a nie nieznieskalconej przez późniejszą postawę Reymonta — prawdy o kapitalistycznej wsi, jej powiązaniach i zależnościach ekonomiczno-społecznych.

Przed wojną, jak wspomina nauczycielka z Lipiec Maria Nowicka, czytano na wsi Reymonta m. in. i z chęcią dowiedzenia się, jak ich opisano. Mówi się za smętnym żalem o współczesnej twórczości „wiejskiej”; nie wydaliliśmy po wojnie naszego Szolochowa. Winiśmy wzdychać: nie mamy, niestety, Reymonta. Reymonta i jego surowego, dokładnego spojrzenia na wieś Boryna, młynarz, kowal, organista — z jednej strony, Jagustynka, Hanka w czasie swego pobytu u starego Bylicy, Kuba tesknący za jadem, owa rzęsa komorników przymierzających głodem — z drugiej strony — to przecież obraz wsi, który „tworzył artysta czujnie obserwujący dostępną mu rzeczywistość”. „Jeden ma, a drugi wiać po polu łapie”. Lipce Reymontowskie są wsią klasową zróżnicowaną. „Kto czyta „Chłopów” — pisze o Reymontcie Boy — ten żyje życiem wsi o ileż mocniej, niż gdyby sam dziesięć lat na niej spędził”.

Lipce Reymontowskie. Lipce leżą niedaleko Łodzi. Godzina jazdy pociągami. Od małej stacyjki prowadzi szerek, bita droga wpadająca między dwa cmentarze. Na starym cmentarzu drewniana kaplica — „konstrukcją zrebrową, zbudowana zapewne w XVII wieku”. U wejścia do wsi murywany kościół. Katalog zabytków sztuki wymienia barokowy krucyfiks, rokokowe rzeźby św. Wojciecha i Stanisława. Główny trakt przecina wieś na dwie części. W środku staw. O polowę mniejszy niż za Reymonta. Nad stawem nowa, murywana świetlica. Trzy pomniki: ciekawy kopiec z okragłych kamieni ku czci Kościuszki, obelisk ku pamięci powieszonych chłopów z Lipiec przez okupanta, tablica marmurowa ku czci Reymonta. I jeszcze jeden pomnik: „Chłopi” Reymonta.

W Lipcach można zobaczyć chałupę Boryny, Dominkowej staw. Za Lipcami mający bór, przypominający o starym konflikcie między wsią a dworem. „Sasiad” Boryny powiada: „Lipce, to wieś biedna. Nie ma bogaczy”. Chłop, który przykrywa głowę wytartą czapką powiada: „Nie mam czym dachu pokryć. Co nas to poradzi? Nie nie poradzi. No, poradzić”. Łodzianin, który pochodzi z Lipiec rzuca uwagę: „Lipce są jeszcze daleko od myśli o spóźnień”. Dziennikarz, który kręci się między ludźmi wysłuchuje: „To skandal, że nie doprowadzono tu linii elektrycznej”.

Z nieba płynie żar. Pięć tysięcy ludzi śledzi akcję wesele. Podziwia tancerzy okretach w grube samodziłały. Akторы grają z samozaparciem. Jedzą, piją, tańca, śpiewają. Na scenie rozgrywa się dramat ślicznej Jagusi. Na widowni rozgrywa się dramat Lipiec. Kto opowie dalsze tego dramatu? Kto opowie dalsze dzieje rodziny Borynow, Kłębów?

MARIAN PIECHAŁ

JĄDRO ŚWIATŁOŚCI

Do powtarzanej lektury najbardziej chyba wstrząsającego utworu Conrada „Jądro ciemności” i dopelniającej ją „Piacówki postępu” zabrałem się pod wpływem doskonałego studium o tych utworach Zdzisława Broncia pt. „Pokusna naderłowicka”, zamieszczonego w księdze zbiorowej „Conrad żywy”, wydanej zeszłego roku w Londynie przez B. Swiderskiego ku uczczeniu 100 rocznicy Josepha Conrada.

Na początku bieżącego wieku pod wpływem bardzo modnej wówczas i bardzo popularnej filozofii Fryderyka Nietzschego, zwłaszcza jego książki „Wille zur Macht” („Wola mocy”) powstało wiele utworów literackich na temat zawartej w tej książce teorii doskonałego człowieka przyszłości, zw. „naderłowicka”. W roku 1905 pojawiły się w Anglii dwa wybitne utwory literackie na ten temat (jeden w druku, drugi

na scenie), a mianowicie „Jądro ciemności” Conrada i „Człowiek i Naderłowick” Shawa. Trzeci wyklarz Shaw, tym razem dał się nabrać i potraktował serio teorię „naderłowicka”. Romantyczny zaś Conrad podszedł do tej teorii z właściwą sobie demaskującą ironią. Dostrzedł w niej niesprawiedliwość tyranii klas uprzywilejowanych nad klasa nowoczesnych naderłowicków.

Conrad mógł to dostrzec, ponieważ miał za sobą doświadczenie, którego nie posiadał Shaw. Mianowicie w roku 1890 Conrad wziął udział w wyprawie w głąb Afryki rzeką Kongo po kość słoniową. Ta rabinikowa ekspedycja kupiecka przesłonięta była pozorem misji cywilizacyjnej na terenie niekiedy dotąd stopa Europejczyka. Conrad opisuje właśnie całe przyrodne piękło tej misji. Rzekomo kulturalny naderłowick, reprezentant handlowych interesów Europy, ma-

(Dokończenie na str. 7) Patrz fotoreportaż obok



Ale Jaguś ... chodziła jak senna ... stała długo, bezmyślnie zapatrzona w okno. Kole-
bała się w niej dusza jak woda i raz wraz biła jakby o kamień jaki, o przypomnienia ...

W LIPCACH



... Na Jagusię po ojcu wypadnie pięć
i z morga lasu ... zapiszcie i wy sześć ...

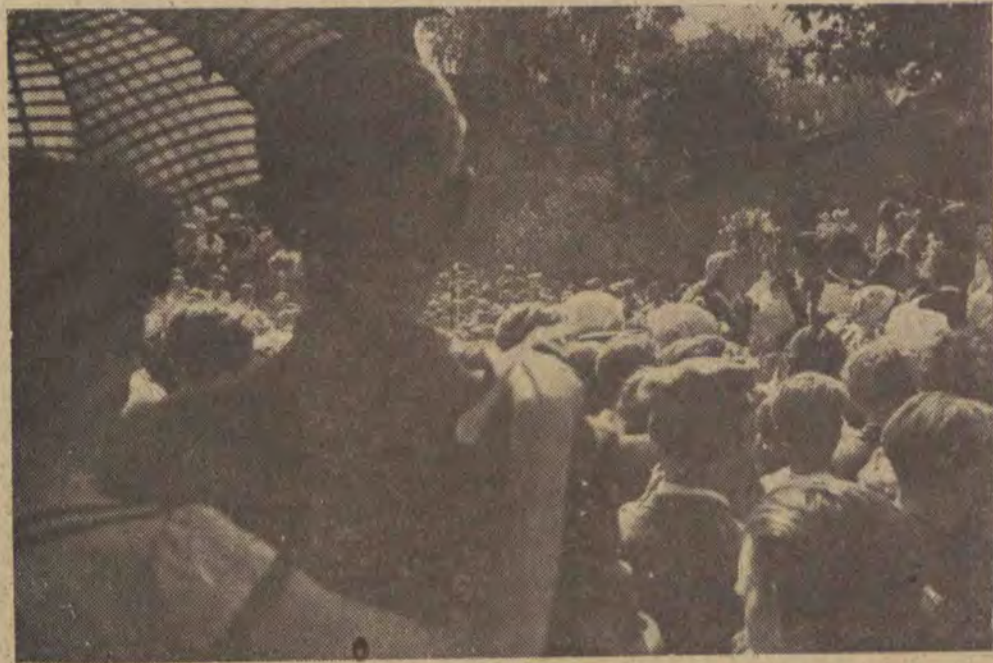


Muzyka rżnęła w sie-
niach, więc co który
próg przestąpił, trzymał
w pół pierwszą z brzegu
kobietę i puszczał się po-
suwistym krokiem „cho-
dzonego”...



Staw w Lipcach

Zdjęcia: Stefan Michałowski



Niedzielną to był dzień i chociaż dzwony jeszcze nie przedzwaniały do kościoła, a już
we wsi wrzało kieby w ulu.



Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny,
przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać.



A dokola, družbeczkowie, dokola:
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!
A dyć my już poprosili — już siedzą.
Dajcie ino co dobrego — to zjedzą.

„Ekskysty z „Chłopów” Reymonta



Chalupa Dominikowej

MELODRAMAT

Początek reportażu
patrz numer
poprzedni (21)



Pociąg, którym zabiła została Rawska, wystrzelony został z pistoletu starego typu, prawdopodobnie niemieckiego kaliber 7,35. W Komendzie Głównej MO z pociskiem wystrzelonym z tego typu pistoletu jak dotąd nie miano do czynienia. Przeprowadzone badania lekarskie i sekcja zwłok wykazały, że śmierć nastąpiła około godz. 23.30.

Okoliczności — głównie brak przy zamordowanej jej biżuterii i pieniędzy, wskazują, że tłem zbrodni mogła być chęć rabunku. Kto jednak wiedział o kosztownościach, jakie Rawska miała przy sobie? Kto wiedział o terminie jej przyjazdu? Dlaczego Rawska po przyjeździe nie poszła do domu, lecz wręcz w przeciwnym kierunku?

Kapitan Liczy, że przynajmniej na niektóre z tych pytań przywiezie odpowiedź por. Witkowski z Zakopanego.

Tymczasem wysiłki kapitana zmierzają w innym kierunku. Trzeba jak najlepiej poznać środowisko, w którym żyła Rawska, ustalić jaką opinią cieszyła się u ludzi? Kapitan uważa, że są w życiu każdego człowieka sprawy, które zaciąka on jak gdyby w niedostępnym dla innych węzle, które skrzętnie ukrywa, pilnie strzegąc dostępu do swych tajemnic. Sprawy takie muszą więc być również w życiu młodej, wyjątkowo poważnej, przystojnej inteligentnej i bogatej, a do tego — samotnej kobiety. Śledztwo nie przynosi jednak prawie żadnych rezultatów.

Rawska cieszyła się w mieście bardzo dobrą opinią. Uważana była za kobietę nieprzystępną. Kilka z przesłuchanych przyjaciółek stwierdziło co prawda, że Rawska była „łatwa”, „puszczalska”, ale wyglądało to raczej na zawziętą. Mężczyźni, którym w takich sprawach kapitan bardziej ufał, potwierdzili opinię o Rawskiej jako o kobiecie nieprzystępnej. Wyrażali nawet często zdziwienie, że taka młoda, ładna, a... Kapitan zdołał ustalić tylko, że dwa lata temu Rawska przeżyła jakąś tragedię miłosną. Próbowana wtedy popełnić samobójstwo. Chodziło o człowieka, który zresztą już rok temu wyjechał z kraju za granicę.

Dopiero po przyjeździe porucznika Witkowskiego wiele rzeczy stało się bardziej jasnych. Powstała nawet pewna bardzo wyraźna poszlaka...

Na podstawie faktów można było już nawet zbudować hipotezę.

— Oto Rawska telegrafuje do Zbigniewa Ranickiego zamieszkałego w P. (kilka kilometrów od miasteczka C.) z prośbą aby jej odczekiwał. Skoro telegrafuje — zna ją się zapewne dobrze. Ranicki orientuje się więc, że Rawska ma przy sobie kosztowności. Po powrocie Rawskiej Ranicki proponuje jej spacer. Gdy są już na przedmieściu w okolicy mało uczęszczanej — strzela, rabuje...

MORDERCA?

Kpt. Biernacki jedzie do P. Ranicki jest 38-letnim mężczyzną. Wyjątkowo przystojny brunet, o lekko kędzierzawych niesforowanych i przprószonych siwizną włosach. Lekar. Zamożny. Cieszy się bardzo dobrą opinią — człowieka uczciwego, poważnego, zrównoważonego...

Wzywany na przesłuchanie — Ranicki twierdzi, że choć otrzymał depesze od Rawskiej nie pojechał do C., aby jej odczekiwał. Łączyły go z Rawską „kiedyś” bliższe stosunki. Kilka tygodni temu, przed jej wyjazdem do Zakopanego, nastąpiło ostateczne zerwanie. Uważa Rawską za kobietę despotyczną, trudną do współży-

cia, która lubiła rozkochiwać w sobie mężczyzn, aby potem zwołać ich, dręczyć, zdradzać z innymi. Twierdzi, że Rawska wyznała mu kiedyś, że w ten sposób bierze odwet za własną tragedię jaką kiedyś przeżyła. Ranicki uważa się za człowieka, który doświadczył, aby w podobne niebezpieczne historie się wdawać. Twierdzi, że Rawska robiła mu sceny zazdrości o jakąś inną kobietę, której nazwiska nie chce wyjawiać. Dlatego postanowił nie oczekiwać Rawskiej na dworcu w C. Licząc się z możliwością, że Rawska może w tej sytuacji do niego zadzwonić, wołał wyjść o tej porze z mieszkania.

— Dokąd pan poszedł?
— Przejść się.
— Dokąd?
— Tak, laziłem ulicami, a potem byłem w parku.
— Kto pana widział?
— Nikt.

— Pańe doktorze, przecież w tym mieście zna pana każde dziecko. Ktoś musiał pana mijać, ukłonić się. Niech pan sobie przypomnia.

— O tej porze u nas w mieście jest już pusto. Nie, nikogo sobie nie przypominam.

— Będę wobec tego zmuszony zatrzymać pana do wyjaśnienia jako podejrzanego o zamordowanie Ireny Rawskiej.

Ranicki robi się bladym, zaczyna drżeć...

— Ależ ja, ale ja...

— Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia, co może wyjaśnić, gdzie przebywał pan między godziną 21.30 a 24 w dniu 22 marca?

Ranicki milczy.

Jeszcze tego samego dnia kpt. Biernacki otrzymuje od prokuratora nakaz aresztowania Zbigniewa Ranickiego oraz nakaz rewizji. Rewizja przynosi nową sensację. Dowód krętaństwa Ranickiego. W kieszeni palta oficerowie znajdują bilet do C. z datą 22 marca. Wzwany na konfrontację kasjer biletowy rozpoznaje Ranickiego. Pamięta, że kilka dni temu pan doktor kupował bilet do C. Zna doktora dobrze, pamięta, że kłaniał mu się i zamienił z nim kilka słów. Przy kasie zupełnie nie było pasażerów. Czy Ranicki wsiadł do pociągu, tego kasjer oczywiście nie wie.

Teraz co kilka dni odbywają się przesłuchania Ranickiego. Twierdzi on uparcie, że nie ma ze sprawą nic wspólnego. Jednocześnie trwa porównywanie odcisków palców znalezionych na rzeczach zmarłej z odciskami palców mieszkańców miasteczka C. Odciski palców znalezione na rzeczach zmarłej nie odpowiadają odciskom palców Ranickiego. Ale to wcale nie świadczy o jego niewinności. Mógł tych rzeczy nie dotykać, mógł nosić rękawiczki. Specjaliści oficerowie zbierają dane i opinie o ludziach, którzy w tym samym czasie co Rawska mieszkali w zakopiańskim pensjonacie. Sprawdzają czy kogoś spośród nich łączyły z Rawską bliższe stosunki. Chodzi szczególnie o te osoby, które opuściły pensjonat wcześniej niż Rawska, ewentualnie tego samego dnia. Jednocześnie wszystkie punkty komisowe i sklepy jubilerskie dostają możliwość jak najbardziej dokładny opis zrabowanej Rawskiej biżuterii.

Kapitana i porucznika meczy dziwne uczucie niepewności. Dowody dotąd zdobyte wydają się zbyt „pewne”, postępowanie podejrzanego Ranickiego zbyt jak na inteligenta kompromitujące. Przy tym oficerowie nie mogą doszukać się motywu zbrodni. Ranicki jest człowiekiem bogatym i rabunek jako myśl przewodnia zbrodni wydaje się w tym wypadku czymś dziwnym. Kapitan Biernacki i porucznik Witkowski mieli już w swej pracy do czynienia z bardzo dziwnymi przypadkami, gdzie tragiczny zbieg okoliczności rzucał podejrzenie na ludzi niewinnych. Czy i tym razem?

Po kilku tygodniach ponownie przesłuchany Ranicki twierdzi, że owszem. Początkowo miał zamiar jechać do C., był na dworcu, kupił bilet, ale w ostatniej

chwili rozmyślił się i nie pojechał.

— Więc może jednak ktoś pana potem widział na mieście? — pyta kapitan.

— Nie, nikt.

— Dlaczego w poprzednich zeznaniach nie powiedział pan, że był na dworcu, kupił bilet do C.?

— Nie sądziłem, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie chciałem nikogo wjaśnić za swoje osobiste sprawy, w swoje rozterki...

— Proszę jednak zrozumieć, że stoł pan pod zarzutem morderstwa — tu chodzi o pańskie życie. Wszystko przemawia przeciw panu. Nie przytoczył pan nic wiarygodnego na swoją obronę.

W tym momencie wchodzi do pokoju por. Witkowski i kładzie przed kapitanem maleńką ewiaratkę papieru. Kapitan szybko przebiega ją oczyma: „Przed chwilą zgłosiła się do mnie siostra Rawskiej. — Anita Borakowska. Przed kilkunastoma minutami znalazła pod swymi drzwiami zawiniątko, w którym jest cała zrabowana Rawskiej biżuteria oraz kilkaset złotych. Technik zdejmuje już z tego odciski palców. Jadę rozpytać domowników czy nie widzieli kogoś kto mógłby to zawiniątko podrzucić. Witkowski!”

Ranicki nie wie, że w tej chwili zaszło w śledztwie bardzo ważne wydarzenie, które zmienić może zupełnie jego kierunek. Zawiniątko podrzucono wtedy, gdy Ranicki przebywał w areszcie jest dowodem, że albo ma współnika, albo jest niewinny. Na razie kapitan nie daje po sobie poznać, że zaszło coś ważnego. Wsuwa kartkę do szuflady i pytająco spogląda na Ranickiego, który jest bladym i bardzo zenerwowany.

— Dobrze, będę mówił — odzywa się. — Tę noc spędziłem w doktorowej Szykowskiej, której mąż wyjechał po ciężkiej chorobie na rekonescencję. Nie chciałem tego mówić. Powinnością to pańowie zrozumieć, jakie wrażenie w małym miasteczku może taki fakt wywołać, tym bardziej, że jej mąż jest właśnie chory, a poza tym to mój przyjaciel...

— Czy ktoś widział pana wchodzącego lub wychodzącego od tej pani?

— Nie, nikt.

— Specjalnie uważałem, aby mnie nikt nie widział.

— Oczywiście sprawdzimy pańskie alibi.

Kapitan zdaje sobie jednak sprawę, że w momencie kiedy Ranicki przedstawił alibi, pojawił się już kontrargument. Szykowska może być właśnie współnikiem Ranickiego — to ona mogła podrzucić zawiniątko. Nie ma na to jednak żadnych dowodów. Mógł to zrobić ktoś zupełnie inny. Kto? To właśnie w tej chwili najbardziej interesuje kpt. Biernackiego.

Technik, który zdejmował odciski palców, pracuje gorączkowo. Po kilku godzinach są wyniki. Tylko na zegarku ze złotą bransoletką znaleziono jakieś obce odciski palców. Na wszystkich innych przedmiotach są tylko odciski Rawskiej. Odciski, które znaleziono na zegarku pokrywają się z odciskami palców znalezionymi na ręczce walizki, którą miała przy sobie zamordowana. Nie pokrywają się natomiast zupełnie z odciskami palców mieszkańców zakopiańskiego pensjonatu.

Nad ranem zjawia się porucznik Witkowski. Dozorca domu i jedna z sąsiadek widzieli jakiegoś mężczyzny, dłuższy czas kręcącego się w pobliżu. Rysopisy przez nich podane są mniej więcej podobne. Jest w rysopisie pewna charakterystyczna rzecz. Mężczyzna jak gdyby leciutko utykał na nogę. Dozorca twierdzi, że człowieka tego widywał już przedtem. Może to być ten człowiek, ale może być ktoś zupełnie inny. Oficerowie postanawiają jednak sprawdzić ten ślad.

Przez następne trzy dni trwa poszukiwanie wśród znajomych i ludzi, z którymi stykała się Rawska, mężczyzny, który odpowiadałby rysopisowi. Wreszcie jest. Inżynier Stefan Gruszecki. Był w czasie ostatejniej wojny ranny w lewą nogę, na którą do dziś lekko utyka. Pozostałe szczegóły rysopisu również się pokrywają.

UPIORY WS

Nigdy nie wierzyłem w życie pozagrobowe — dlatego może świat starzych grobów, cmentarzy i kurhanów wyobrażałem sobie zawsze jako strefę bezwzględnej ciszy i spokoju. Odłąk jednak zacząłem interesować się archeologią i niekiedy zdarza mi się odwiedzać stare cmentarzyska — dochodzi mi od nich zgiełk gniewnych głosów, widziałem jak z grobów powstają upiory, gotowe rzucić się na nas żywych i zadiawić aż do zupełnej zaty...

ROZDZIAŁ IV

Węslory czy Vallox-Säby? — Byli czy nie byli? Zwycięzyli czy zostali zwyciężeni? — „Upiory” — Co sądził Tacyt?

Archeolodzy łódzcy już od trzech lat badają cmentarzysko w Węslorach. Pod usypiskiem z kamieni odnaleziono w kurhanach groby szkieletowe ułożone w pozycji skurczonej lub wyprostowanej, z głowami na północy. Groby kobiet były bogato wyposażone, męskie ubogie, w żadnym z grobów nie odnaleziono broni.

Wyróżnia te groby brak ceramiki, naczyń glinianych, które spotyka się w mogiłach słowiańskich. W zamian za to, odnaleziono dużo przedmiotów z brązu, filip czyli agraf, szpilek, esowate zapinki do naszyjników, srebrne wisiorki, bransolety, paciorki bursztynowe i szklane. Do jakiego ludu należą więc węslorskie cmentarzysko?

„Mgr Kmieciński pokazał mi ilustrację w książce napisanej po szwedzku.

— Ależ to fotografia cmentarzyska w Węslorach — zawołałem.

— Nie, redaktorze. To cmentarzysko w Vallox-Säby w południowej Skandynawii.

Książka ta nosi tytuł „Die Urheimat der Goten”, a napisał ją Eric Graf Oxenstierna. Reprodukowane tam zdjęcie cmentarzyska gockiego w Vallox-Säby jest identyczne ze zdjęciem, jakie robiłem w Węslorach w pow. Kartuzy. Jakby i tu i tam ten sam sosnowy las, i rozrzucone w trawie podługne głazy — stule kamienne tzw. „Bautastener”, pokrywające groby. I tu i tam w grobach tych odnaleziono podobne fibule, naszyjniki. I tu i tam są kęgi kamienne. I tu i tam groby szkieletowe nie zawierają broni. Tylko, że takich cmentarzy w południowej Skandynawii jest o wiele więcej niż u nas, i co ważniejsze, są one dawniejsze, starsze. Wniosek więc może być tylko jeden:

Cmentarzysko w Węslorach jest pozostałością po germańskim plemieniu Gotów, którzy na Pomorze przybyli ze Skandynawii. Kiedy to się stało?

Archeolodzy szwedzcy notują na podstawie swych badań, że w początkach naszej ery prowincja Vösterpötland w południowej Skandynawii prawie zupełnie opróżnia się z ludności. Archeolodzy polscy zauważają, że w tym samym mniej więcej czasie u ujścia Wisły — na obszarze „grupy oksywskiej” słowiańskiej „kultury grobów jamowych” — zjawia się oryginalna i zupełnie tu dotąd nie znana kultura, która poza charakterystycznymi formami wyrobów metalowych

ZAGADKA

Kapitan Biernacki, porucznik Witkowski i prokurator znowu siedzą w szarej „Warszawie”, która pędzi do podmiejskiej osady willowej, do mieszkania inżyniera Gruszeckiego.

Dzwonią. Ktoś otwiera.

— Panowie do kogo?

— Do inżyniera Gruszeckiego, jesteśmy z Milicji.

Mężczyzna patrzy na nich osłupiałym wzrokiem, po czym nagle wali się na ziemię. Przybyły natychmiast lekarz stwierdza zawał serca, ciężkie omdlenie.

Jest już środek lata. Gruszecki przez kilka tygodni leżał w szpitalu, dopiero teraz może znowu wstać. Na dworzec przyjeżdża Ranicki już na wolności. Został zwolniony po odnalezieniu w piwnicy Gruszeckiego starego, niemieckiego pistoletu kal. 7,35 oraz po stwierdzeniu, że odciski palców znalezione na zegarku, walizce i pistolecie są identyczne z odciskami palców Gruszeckiego. Jest jeszcze jedna niejasna sprawa. Na rękojeści pistoletu są również odciski palców Rawskiej. Gruszecki siedzi naprzeciw kpt. Biernackiego i zeznaje:

Był kiedyś kochankiem Rawskiej.

wyróżnia się przede wszystkim zwyczajem grzebania zmarłych nie spalonych i niewkładaniem broni do grobów. Prawie każdy podręcznik archeologii zaznaczy w tym miejscu: „pojawienie się tej kultury wiąże z trzebą z najazdem germańskiego plemienia „Gotów”. Innymi słowy — nasi słowiańscy protoplaści paliłi ciała swych nieboszczyków. Goci chowali nie spalonych. Goci przepłynęli morze i najechali Słowian — to po nich zostały groby szkieletowe. Grobów szkieletowych na Pomorzu pojawia się wiele, coraz więcej — a więc Goci najechawszy Słowian, pobili ich i sobie podporządkowali**).

Taki pogląd dominuje w naszej nauce do tej pory. Pogląd wygodny dla wielu „stron”. Szowiniści niemieccy widzieli w nim jeszcze jeden powód germańskiej bitności i niezwykłości. Dla nich było oczywiste, że zjawili się nad Wisłą bitni Germanie musieliby podbić Słowian. Uczony Gogon Miller w swej pracy patronowanej przez hitlerowców pisał o „odkrywczych podróżach Gotów”, których gnała „przedsiębiorczość i żądza czynów (Tatendrang)”. Uczony niemiecki Schwarz jeszcze w 1953 r. ujście Wisły nazywa „bazą wypadową” przedsięwzięcia Germanów i umieszcza tu przed najazdem Gotów germańskich Wandalów, Burgundów, Rugiów, zapominając o drobnoście, o Słowianach...

Oto teoria-upiory, która powstała z mogił, aby rzucić się na nas żywych. Takie „teorie” wspierano zagonami czołgów, drutami obozów koncentracyjnych, piecami krematoriów.

A polscy uczeni? Ci uzasadniają obecność Słowian na Pomorzu zgadzali się jednak na tezę o podbiću Słowian przez Gotów. A „nie byłoby to możliwe — jak pisał wybitny historyk K. Tymieniecki — gdyby nie panowanie w umysłach nieludzkich teorii o wiecznej niewoli Słowian i stał się ich niższością wobec Germanów. Teoria ta szerzyła się również wśród Niemców, jak i Słowian, a tylko uczciwe zabarwienie przyjmowała odmienne w każdym wypadku”. W tej samej jednak pracy, ale nieco dalej K. Tymieniecki udowadnia, że na Pomorzu Gotów... w ogóle nigdy nie było.

O! i kłopot z Gotami. Byli czy nie byli? A jeśli byli — to czy jako zwycięzcy czy jako zwyciężeni?

K. Ptolomeusz, geograf aleksandryjski z II w. n.e. umiejscawia nad Morzem Bałtyckim słowiańskich Wenedów, Zatokę Gdańską nazywa Wenedzką — a przecież wtedy to czasów, gdy wedle nauki nad Bałtykiem panować winni Goci? Poprawiono więc Ptolomeusza.

Potem rzuciła go dla innego. Tych innych było zresztą wielu.

— Rawska bardzo jednak dbała — mówi Gruszecki — o to, aby nikt nie wiedział z kim żyje. Ale ja wiedziałem. Śledziłem ją. Miałem dorobiony klucz do jej skrzynki na listy. I czasem gdy wiedziałem, że nie ma jej w mieście, wyjmowałem listy, które po otwarciu, przeczytanu i zaklejeniu wrzucałem z powrotem do skrzynki. Wiedziałem o niej bardzo dużo rzeczy, które pragnęła przed ludźmi ukryć.

Kochałem ją jednak bardzo i nie mogłem orzec jej kochać. Prosiłem ją, błagałem, aby do mnie wróciła. Odpowiedział mi, że wróci i kpiny. Kiedy wyjechała do Zakopanego (numer jej skrytki pocztowej znalazłem z poprzednich lat) napisałem do niej list, że jeśli nie wróci do mnie, opowiem znajomym i przyjaciółom wszystko, co o niej wiem. Zrobię wszystko, aby ją zniszczyć. Zaraz potem napisałem drugi list. Umówiłem się z nią w kawiarni na Krupówkach. Musiałem się z nią rozmówić. Gdyśmy się spotkali, była przerażona. Bardzo się bała, abym nie zrobił skandalu. Z wyjątkową przesadą dbała o swą opinię.

Na spotkaniu zakomunikowała mi, że jeszcze dziś wraca do C. Po-

TAJĄ Z GROBÓW

I nawet wielki nasz archeolog, który całe swe życie poświęcił walce z niemieckimi teoriami i ma na tym polu nieocenione wprost zasługi, napisał: „Trzeba oczywiście przyjąć, że informacja ta (chodzi o Ptolomeusza — przypisek Z.N.) odnosi się do czasów przed najazdem Gotów, kiedy Wenedzi wideli żywot niepodległy, a więc do ostat-



Wisiorok srebrny z kurhanu w Węstorach

niego wieku przed Chrystusem. Ale jednak Ptolomeusz pisał w prawie dwieście lat później? Czyżby rzeczywiście był aż tak nieskrupulatny?

„Nauka idzie wciąż naprzód. Jeszcze przed wojną badania K. Stojanowskiego zachwiały tezę, że groby szkieletowe na Pomorzu w pierwszych wiekach naszej ery — to groby najezdźców gockich. Okazało się bowiem, że groby szkieletowe znane są na Pomorzu jeszcze przed najazdem Gotów. Poza tym badania wykazały, że czaszki pomorskie mają skład środkowo-europejski, a nie germański, jaki powinny mieć czaszki gockie.

Może więc raczej ma historyk Tymieniecki twierdząc, że Gotów na Pomorzu w ogóle nie było? A może należy przyjąć twierdzenie J. Kostrzewskiego: „... Ponieważ jednak archeologiczne dowody przemawiają za skandynawskim pochodzeniem części ludności pomorskiej w pierwszych wiekach n.e. należy chyba przyjąć, że tylko część ludności grzebiącej zmarłych nie spalonych reprezentuje przybyszów ze Skandynawii i że ilość najezdźców była zbyt mała, żeby zażywać na składzie rasowym ludności pomorskiej”.

Ilość najezdźców była więc mała. Stała wobec potężnego, jak wiemy, słowiańskiego ludu Wenedów. Na jakiej podstawie przyjęto tezę, że ta mała garstka zawołała potężny lud Wenedów?

Oczywiście teza taka ma uza-



Fibula brązowa

sadnienie tylko w naszych chyba fałszywych wyobrażeniach o Słowianach, jako o potulnych baranach zawsze dostających „lupnia“ od Germanów, Słowianach, którzy grali na gęślach i nie wiedzieli co to broń i walka. Nie zgodziłby się z nami historyk rzymski Tacyt z II w., który tak się przyjął bitnością słowiańskich Wenedów, że wahał się czy załdżyć ich do Germanów, czy też Sarmatów: I pisał:

„Wenedowie ... w swych wyprawach łupieskich przebiegają wszystkie lasy i góry ... Budują stałe domy, noszą tarcze, lubują się w pie-szych marszach i chyżości...”

Mała garstka Gotów, która na początku naszej ery przez Bałtyk przybyła nad dolną Wisłę, stanęła wobec potężnego ludu słowiańskich Wenedów, którzy nosili broń i tarcze, lubowali się w piesznych marszach i chyżości, czynili wyprawy łupieskie. Wątpliwe jest, czy takich Wenedów, jakich przedstawia nam Tacyt, byli Goci w stanie zawojuować.

A może stało się inaczej? Może to Wenedzi podbili i pochłonęli Gotów? I dlatego ślady ich pobytu u nas są tak słabo uchwyte, pomieszczone z elementem słowiańskim, zagubione w żywiole Wenedów?

powstają z mogił na zaturę nas żywych.

... W Węstorach oglądałem kurhan zniszczony w 1945 r. To tu u-mocnili stanowisko karabinów maszynowych hitlerowscy żołdacy broniący się przed nacierającą ofensywą radzieckich i polskich oddziałów. Hitlerowscy uczeni nie wiedzieli, że Węsiory, to pragermańskie cmentarzysko. Jakże łatwo byłoby wmówić hitlerowskiemu żołdakom, że broniąc Pomorza — bronią ojczyzny, mogił i kurhanów germańskich. Dlatego to nie blaha sprawa wyjaśnić, skąd wzięły się na naszej ziemi cmentarzyska germańskie, w jakich warunkach i na jakich zasadach przebywały tu germańskie plemiona, a wśród nich i Goci.

(dokończenie za tydzień)
ZBIGNIEW NOWICKI

Ukryte w ziemi stare groby, kamienne kurhany — a ileż zagadek kryją. Słyszeliście ten zalatujący od nich zgiełk polemik naukowych, widzieliście teorie — upiory, które

*) Patrz reportaż w ubiegłym tygodniu pt. „Tajemnice grobów i kurhanów”.

** Okazuje się zresztą, że i Goci stosowali obrządek pogrzebowy mieszany, także palili ciała zmarłych.



Oto przedmioty znalezione w grobach gockich w południowej Skandynawii. Porównajcie je z załączonymi w tekście przedmiotami znanymi w Polsce

EPILOG NIE ZUPEŁNIE NA TEMAT

Siedzę z kapitanem Biernackim i porucznikiem Witkowskim w małej, zacisznej kawiarence. Powoli sączymy wino.

Kapitan uśmiecha się w sposób, który raczej przypomina grymas.

— Ot, taka to i historia — mówi. — Czort wie, czy Gruszecki kłamie czy mówi prawdę. Prościej jest powiedzieć, że kłamie. Ale nie ma na to stuprocentowych dowodów. Lekarze, którzy robili sekcję zwłok i badali ranę wlotową przez którą wszedł pocisk, nie wykluczają możliwości przypadkowego strzału (strzał oddany był z bardzo małej odległości), ale też nie są w stanie stwierdzić tego na pewno.

Na rękocyfry pistoletu są również odciski palców Rawskiej. Mogły powstać w czasie, gdy szamotała się z nim kiedy chciał do niej strzelić, ale mogło też być tak jak mówi Gruszecki. Prokurator i sąd będą mieli twarde orzechy do zgryzienia.

A my? Cóż, sądzę, że w tej sprawie pomogł nam przypadek. Przypadek jest naszym częstym sojusznikiem. Występuje najczęściej w postaci błędów popełnionych przez przestępcę. A błąd? — W praktyce każdy przestępca popełnia jakiś błąd. Chodzi tylko o to, abyśmy my umieli go wykryć. Zresztą myślny też byli w tej sprawie o krok od

poważnego błędu... W tej sprawie do dziś jest niewyjaśnione, skąd Gruszecki wziął pistolet? A może pistolet rzeczywiście należał do Rawskiej. Węć skąd ona go wzięła? Dlaczego miała go z sobą?

Taka to i nasza „psia służba”. Władymy ludziom „z kaloszami” w dusze, w ich osobiste, intymne, często trudne, skomplikowane i bolesne, innym znowu razem brudne sprawy.

Cóż, jeszcze jeden płaski melodramat skończony. Zresztą, bo ja wiem, może ludzka tragedia? Nam takie sprawy nie są przyjemne. Ale po to, żeby strzec ludzkiego życia i spokoju, przecież jesteśmy.

— Wiecie — wtrąca por. Witkowski — czasem wydaje mi się, że kiepskie filmy tym różnią się od dobrych, że kiepskie pokazują często życie takim jakie ono naprawdę jest. A jeśli chodzi o tamtą sprawę — to myślny swoje już zrobili. Teraz to sprawa sądu i prokuratury. Dostaliśmy właśnie wiadomość, że powierzono nam prowadzenie nowego śledztwa.

P. S. Ze względu na fakt, że sprawa nie została jeszcze rozpatrzona przez sąd, a także ze względu na szereg spraw osób postronnych, które musiałem z konieczności poruszyć — nazwiska podane w raporcie nie są prawdziwe.

MIECZYSLAW GÓRSKI



STRESZCZENIE Z POPRZEDNICH NUMERÓW

W lesie grasuje zgraja zbrojców. Na jej czele stoi tajemniczy śpiewak Czarny Matwiej. Szajka wymianionych wyrzutek społeczeństwa szykuje się na barona Caruso-Hydrargir. Czas dzielący ją od dalszych zbrodniczych czynów umiata sobie śpiewaniem przeróżnych kupletów, arii i poplesni baletowych. Nie przeczuwający niczego baron, mistrz sztuki chirurgicznej, obzarzył i uwodzieńca dziewcząt w jednej osobie, uwiódłszy już margrabinę Selcerską, hrabiankę Morykonii, księżniczkę węgierską Zagrajcar, do-biera się do arcyksiężnej Zuberowej.

Powityszy okrzyk wydarł z ust arcyksiężnej, nie napór ekstazy miłosnej, lecz strach. W chwili gdy arcyksiężna sięgała jedną ręką po kobiałkę, drugą odpychała od swych ust usta Hydrargira, narzucono jej na głowę uorek.

Nie będziemy zamudzać czytelnika ani arią „We worku” ani recitatiuem Hydrargira, wygłaszanych z drzewa, na które wdrapał się w ucieczce przed wyrastymi jak spod ziemi zbrojcami. Nadmieniamy, że zbrojcy strząsnęli drzewo z barona, obezwładnili gajowego, towarzyszącego parze w charakterze ochrony i w ołownym krokiem zbliżamy się ku finałowi, kończącemu operę zbrojce, operetkę, śpiewaną farsę czy jak kto woli nazwać tę monstrualną dramatyczną grafomanę.

HYDRARGIR:

Bo to jest cała moja psychologia, pan arcyksiężno, tiens.

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Wuala! .. pamiętam podobny ton stosował pan pisząc o śpiewie Władisa Tremolo.

HYDRARGIR:

Jest pani dowiecipna, arcyksiężno... Ale czy nie uważa pani, że istotnie przeliczne są te walencjanki zbroj na te tak sutego sztafkarzu kąkolki?



ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Kąkolki są dziś cudne jak lilie.

HYDRARGIR:

Znaczy to, że pogody będziemy mieli wspaniałe... Krowy będą dawać wiele mleka, bo dużo ryczą... Ale jaki mam bajeczny bób...

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Piramidalnie bajeczny!... Imposand! Kolossal! Tres kolosalny... Ach! ach!!

HYDRARGIR:

Może przejrzymy drób...

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

(z majestatycznym chłodem wyzywającej hetery)...

(Też część kwestii arcyksiężnej, wypowiedzianej po angielsku, nie podajemy ze względu zarówno na jej nieprzetłumaczalną na nasz język treść jak i jej niezwykłą pieprzność, tak rażąca polskie uszy).

HYDRARGIR:

Atlasowe rączka masz, dziecino.

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Ooohh!



SŁOWO WIĄŻĄCE:

CZARNY MATWIEJ:

Teraz się zemszczę, zemszczę baronie, chirurgu i recenzencie! Teraz szatanom poślę twą duszę w arcykiepskim prezencie!... Zgintesz, parszywy ty, coś mnie wywiódł na te zbrojce manowce, coś sprawił, iżem wszystko wyprzedził, nawet Walerii deszczowce...

Ty coś gdym śpiewał w starej oberży arię „Na katafalku” — zepsuł swym śmiechem jęk Rodrigueza z opery „Książę antalków”... coś się w operze stałe otaczał płacnych klakierów zgraja, coś mi, gdym ciągnął w „Fauscie” górne „C” wrzucił do gardła jajo...

coś mi Walerię zabrał, ty lotrze, która kochała mnie skrycie, słuchając co noc mych pieśni pienia, wielbiąc mój śpiew ponad życie!...

(Odsłania maskę do połowy nosa) Było to w czasach górnych, bezchmurnych, gdy sława kublami się lala, dziś mego głosu nikt nie zamówi nawet za szklanek kakaa.

Przez ciebie przecież, podły baronie, zwiędziałem arest, więzienie!... Czyż to nie tyś ty kazał podłożyć mi nogę na owę „Carmen”?

(Zakończenie w następnym numerze)

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

Powiedział jej brat Michał: „Nie o to nam idzie, jakie wszechcześnieństwo robić, ale gdzie Baldrych z rozkazu i namowy szatana ukrył swój cyrograf”.

Spuszczona z mąk ad crastinum (do następnego dnia) dla lepszej informacji — nie nie powiedziała.

Primo itaque tracta per executorum iustitiae (rozciągnięta przez kata po raz pierwszy), nie nie powiedziała.

„Quarto tracta similiter et igne probata (pociągnięta podobnie po raz czwarty i ogniem próbowana) rzekła: „Bądźcie przekleci, wy, kaci moi”. Na to powiedział brat Michał: „Niech będą błogosławieni ci, co za nieswoje grzechy meki doznają. A wyznaj nam Doroto, gdzie jest skarb Baldrycha, gdzie jest jego cyrograf...”

Post meridem ligata et tracta (po południu związana i pociągnięta) zeznała: „Nie nie wiem, nie nie widziałam. Szatan porwał cyrograf Baldrycha, pana mego przekłętą przez Boga. O pofolgujcie mi...”

„Sąd tedy wójtowski sulejowski krwawie zagojony zważywszy przyrzeczone te kryminalny i ekscesa, stosując się do prawa w Saksonie wyrażonego, stosując się do prawa magdeburskiego, konstytucjami koronnymi obwarowanego przeciwko takowym przestępcom przykazania boskiego na wzgardę Pana Boga i duszy swojej, na sakodę ludzką i na stracenie zdrowia, pozwał dekretem swoim i na śmierć skazał pomienioną Dorotę służkę bliźniery Baldrycha...aby na etosie drew jako czarownicę spalona była per exerutorum iustitiae...”

SKARB BALDARICHA

Któregoś dnia nieoczekiwanie odwiedziła mnie Czarna Milady. Przyszła, położyła na stole dwie kartki napisanego papieru.

— Oto odpis testamentu szlachcica Baldaricha-Baldrycha — powiedziała. — Zdobylam go wreszcie.

Z nabożeństwem dołknąłem dwóch kartek papieru:

— Więc to jest testament?

— Odpis z odpisu. Oryginał pozostał w bibliotece Sorbony. Pronobis przepisał z niego co ciekawsze fragmenty, potem ukradł mu je mordercy... — zaważała się, ale po chwili powtórzyła zdecydowanie. — Tak, mordercy. A ja przepisałem dla nas, za ich zezwoleniem.

Uśmiechnęła się znowu świadoma, że przemawia zagadkami.

— Wyjaśnij panu zagadkę śmierci przyjaciela. Zaręczam jednak, że nie jest ona tak tajemnicza, jakby się to z pozoru wydawało. Właściwie od razu na samym początku domyślił się pan, w jakich okolicznościach zmarł Pronobis.

— W nocy weszli do jego izdebki dwaj biali mnisi. Przeraził się, pękło mu serce, czy tak?

Kiwnęła głową. Zapaliła papierosa.

— Tak, tylko, że to nie byli cysterscy mnisi. To Szeł i Szczurek (tak go pan nazywa, prawda?) przebrali się w białe habit.

Mówiła dalej, zadowolona z mego zdumienia.

— Wtedy, podczas naszej wizyty u malarza Bogumiła wśród ruin opactwa mignęły mi dwa białe habit. Zaciekawiona pobiegłam w ich kierunku i na drodze zetknęłam się z nimi oko w oko. Rozpoznałam Szeła i Szczurka. Powiedzieli, że posiadają już testament Baldrycha, próbowali na własną rękę odszukać skarby, ale im się to nie udało. Zaproponowali mi więc, żebym znowu przystąpiła do ich spółki i dopomogła w rozszyfrowaniu testamentu.

— I pani przystała?...

— To była jedyna szansa, żeby dostać do ręki testament. Pojechałam z nimi, przepisałam go, a ponieważ jest on jedną wielką zagadką, poprosiłem o trochę czasu na przemyślenie całej historii.

Po chwili milczenia powiedziała:

— Zdaje się, że wiem, gdzie Baldarich-Baldrych ukrył swoje skarby. Dlatego zjawiam się u pana. Musimy jechać do Przekleńnika. Natychmiast. Boję się, że Szeł mnie śledzi.

— Kim jest ten Szeł, u diaska? Kto to? Jak się nazywa?

— Spojrzała na mnie jak na wariata.

— A skądże mogę wiedzieć? Nigdy mi się nie przedstawiał. Dla naszej spółki był tylko Szełem, niczym więcej. Zresztą, on również nie pytał nas o nazwiska.

— Habit cysterskie. Po co była ta maskarada? Żeby zamordować Pronobisa?

— Więc pan jeszcze nie domyślił się wszystkiego? Miałam lepsze wyobrażenie o pańskiej przenikliwości. Szeł zawiązał spółkę do handlu antykami. Szczurek i Bach mieli te antyki dostarczać. Szeł zajmował się sprzedażą, ja byłam rzeczoznawcą, bo oni o antykach nie mają zielonego pojęcia... Z początku spółka nasza prosperowała doskonale. Zdobywali antyki, za bezcen, a sprzedawali za grube pieniądze przeważnie cudzoziemcom, pracownikom różnych ambasad. Szeł jednak, zdaje się, lubi grać w karty. Przegrywał. Ciagle za mało mu było pieniędzy. I zaczęli po prostu kraść... Wywalczyli, że w starym dworze w Łękach walają się graty, które po odnowieniu mogą mieć dużą wartość. Posłanowili je zrabować, ukraść. I o to się z nimi pokłóciłam. Wystąpiłam ze spółki. O to bardzo pomyślnie ludzie. Po kasacie klasztoru w Sulejowie, sporo klasztornych rzeczy rozebrali między siebie okoliczni chłopcy. Szczurek i Szeł uszyli sobie białe habit i zaczęli chodzić od chałupy do chałupy, gadając ludzom, że cystersi zamierzają odbudować klasztor, że kto ma jakieś klasztorne rzeczy powinien im je zwrócić. W ten sposób podobno wyłudził od chłopów wiele starych mebli, skrzyń, krzeseł, stolików, ba, nawet cenne obrazy... Oto i tajemnica ich maskarady. W podobny sposób chcieli wyłudzić od Pronobisa testament Baldrycha.

Wobec mnie udawali, że sprawa skarbów zupełnie ich nie obchodzi, a za moimi plecami poszli do Pronobisa. Umarł z przerażenia, a oni zabrali mu testament i szkic o Bernardzie. W międzyczasie pokłóciłam się z nimi i wystąpiłam ze spółki. Szczęśliwie, że skoro mają testament uda im się odnaleźć skarby bez mojej pomocy. Na szczęście nie było to takie łatwe. Więc znowu zaproponowali mi spółkę... Tylko, że tym razem, to ja poprowadzę z nimi podwójną grę.

Na zakończenie zastanowiła się głono: — Mordercy? Szeł usprawiedliwił się przede mną, że nie zamierzał zabić Pronobisa. Trzykrotnie próbował się z nim spotkać. Raz w ruinach i wtedy staruszek zemścił. Potem w nocy chcieli do niego wejść, ale wydało im się, że w jego izdebce jest ktoś jeszcze i uciekli. Za trzecim razem zapukali, staruszek im otworzył, ale zobaczywszy ich dostał ataku serca... Zadzwońcie do Nataniela.

Był koniec maja, pochmurne, lecz ciepłe południe.

Pędziłam szosą na Piotrków. Nataniel siedział za kierownicą, ja z Czarną Miladą zajmowaliśmy tylne miejsca. Milady miała usta zacisnięte i twarz czujną jakby spodziewała się jakichś poważnych przeszkód na naszej drodze. Raz po raz oglądała się za siebie i przez małe okienko z tyłu wozu obserwowała szosę. Kilka razy prosiła Nataniela, aby zjechał na boczną drogę i dał się wyminąć autem jadącym za nami.

Pokpiwałem z jej obaw:

— Czyżby Szeł był aż tak sprytny i przewidujący, że domyślił się naszego wyjazdu do Przekleńnika?

— A jeśli mnie śledził? Jeśli zauważył, że złożyłam panu wizytę?

— Sprytny jest. Inteligentny. Studiował ekonomię czy też filozofię. Trzeba mieć sporo sprytu, aby nie zając się na sztuce, jednocześnie robić na niej doskonale interesy.

Przy kierownicy zachichotał mistrz Nataniel:

— Zło w tym, droga pani, że w naszej ojczyźnie majątku na sztuce dorabiają się przede wszystkim ci, którzy się na niej zupełnie nie znają.

— Skoro jest taki sprytny, dlaczego nie odgadł, gdzie Baldrych ukrył swoje skarby? Przecież miał w rękę testament — rzekłem. Złościło mnie, że Milady tak pochlebnie wyrażała się o Szele.

I tym razem poczęła go bronić.

— Testament to nie wszystko. Panowie też go czytali i nie odgadliście tajemnicy Baldrycha. A przecież pan Tomasz, o wiele lepiej niż Szeł wie o przyczynach, które zdecydowały, że Baldrych napisał swój testament w sposób zawily, szyfrem, używając trudnych do przeniknięcia aluzji. Zrabowany Pronobisowi szkic o Bernardzie również niewiele dopomógł Szełowi. Czy mógł zwrócić uwagę na takie, na przykład, zdanie w testamencie: „Prawdy nie nie zdola zabić, unicestwić. Prawda jest jak zasypana studnia, w której pod kamieniami i ziemią bije jednak źródło prawdy. I źródło to kiedyś na pewno wytrysnie, gdy odwalone zostaną kamienie”.

— Hm — chrząknąłem niepewnie. — Nie widzę w tym nic szczególnego. Ot, takie sobie, nieciekawe porównanie.

— Tak — zgodziła się Milady. — Ale czy pan dokładnie zwiędzał Przekleńnik?

— Nie. Za to mistrz Nataniel swojego czasu był tam dość często...

Mistrz pokławił głową dobitnie.

— Innej ja tam prawdy i innych skarbów szukałem, Tomasz, czego i tobie życzę.

— Pracownia Baldaricha-Baldrycha mieściła się na malutkiej wysepce na środku stawu — wyjaśniła Czarna Milady. — Staw od dawna wysychł, wysepka jednak wyraźnie się odznacza. Pracownie zburzono. Pozostała kupa gruzu i... studnia. Zasypana kamieniami studnia.

— Więc???

W Milady obudziły się wątpliwości.

— Może ja się mylę? Tyle nieprawdopodobieństw zawiera moje przypuszczenia.

— Nie, nie — zaprotestowałam — Pani ma rację. Teraz wszystko jest jasne. Gdy Baldarich-Baldrych zrozumiał, że nie wyr-

wie się żywy z rąk opata Bernarda, postanowił uciec do Francji. Co się w takich razach robi? Chowa się to co najcenniejsze. Chowa się w miejscu najporęczniejszym do ukrycia... Może Baldrych był skrzyniarz, obserwowany przez ludzi opata Bernarda? Jeśli tak, to najwygodniej mu było ukryć skarby na wysepce, gdzie miał pracownię, której nikt nie odwiedzał. Być może w tej studni nie było wody? Baldrych na dzień jej ukrył skarby, potem nasypał kamieni i wyjechał?...

— O, jakie to łatwe i proste — zadrwiła Milady, choć to ona podsunęła nam tak fantastycznie łatwe rozwiązanie zagadki Baldrycha.

Pomknęliśmy drogą do Przekleńnika.

Na dworcu panował półmrok, w studni uczyniło się zupełnie ciemno. Wyjmowałem kamienie po omacku. Nagle palce moje zamiast porowatej powierzchni glazu, napotkały żelazną krawędź jakiegoś przedmiotu. Zawolałem coś radośnie, począłem pracować ze zdwojoną siłą. Nie czułem już zmęczenia ani bólu palców.

Jeszcze kilkanaście glazów spoczęło obok studni i podałem Milady niewielką skrzyneczkę obitą żelaznymi zardzewiałymi obręczami.

Wleczko zostało uchylone. Milady wyjęła ze skrzyneczki najpierw plik nieco zbutwiałych kartek pergaminowych, potem dwa złote pierścienie z dużymi rubinami. W skrzyni znajdował się jeszcze ciężki złoty łańcuch na szyję, malutkie pudełko z pierścieniem, w który oprawiono szmaragd.

— To... wszystko? — powiedziała zawiedziona. Była bliska płaczu.

Wziąłem w ręce plik pergaminów. Na zbutwiałej stronie z trudem odczytałem tytuł:

„Dzieje sulejowskich opatów, którzy nie pomni na swe śluby ubóstwa, więcej myśleli o bogactwie aniżeli o pracy dla Boga, dochodząc do wielkich fortun poprzez oszustwa, fałszerstwa i kłamstwa, spisane przez Baldaricha-Baldrycha gwoli prawdzie i przestrodze”.

Mistrz odebrał mi rękopis. Zerknął na tytuł i położył rękę na moim ramieniu.

— Ty drżysz, Tomasz? — szepnął ze strachem.

Wzięc i on, Baldarich-Baldrych, również pisał „Dzieje opatów”? To dlatego Bernard tak go prześladował, dlatego poszukiwał jego „skarbów”? Nie o skarby mu szło, a o ów plik pergaminów. Bał się, że zniszczą one cystersów i klasztor sulejowski, któremu przywrócić chciał dawny blask...

Usłyszałem śmiech Milady. To mistrz Nataniel włożył jej na palec pierścień Baldrycha.

— Rubiny przynoszą nieszczęście — broniła się, a jednak nie zdejmowała pierścienia.

— Jestem głodny — stwierdził Nataniel.

W krzakach obok nas coś zaszeleściło. Po tem zaczął śpiewać słowik. Jeden, drugi. Mocno pachniał jaśmin.

Wobec zdecydowanej postawy mistrza Milady postanowiła skoczyć po jedzenie do chaty drwala.

Zostaliśmy sami. Mistrz słuchał śpiewu słowików, ja wertowałem „Dzieje sulejowskich opatów”.

Wtem, gdzieś z lasu, ktoś zaczął wołać rozpaczliwie:

— Ratunkuuuu!... Na pomoc!... Ratunku!...

Przycisnąłem manuskrypt do piersi. Przedarliśmy się przez krzaki, wybiegliśmy na skraj lasu.

Ale krzyk nie powtórzył się więcej. Ciemność uniemożliwiła dokładniejsze poszukiwania.

Pobieżnie przejrzelśmy krzaki, pokręciliśmy się między drzewami w lesie. Cicho było i głucho. Krawędzią lasu doszliśmy do szosy. Nataniel był wstrząśnięty usłyszanym wołaniem.

— Tomasz. Tam stało się coś strasznego. Może przybyliśmy za późno?

Na szosie stał osobowy samochód z pogaszonymi światłami. Ktoś moził się przy nim, próbując korba zapalić motor.

Podeszliśmy bliżej.

— Dobry wieczór, mistrzu. Dobry wieczór, Tomasz — powitał, nas znajomy, ironiczny głos.

Rozpoznaliśmy redaktora „Horyzontów Filatelistyki”.

— To pan?? Tutaj?? — zdziwił się mistrz.

— Zło polega na tym, że świat jest za mały. Za mały. Stanowczo — podkreślił redaktor.

Opowiedzieliśmy mu o tajemniczym krzyku. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Krzyzał ktoś? Wołał o pomoc? Hm, to bardzo ciekawe... Niestety, spieszę do Sulejowa. Jak na złość zgasił mi motor.

Przypiąłem się do korby, pragnąc mu pomóc. Motor natychmiast parskał ochotczo, zabulgotał.

— Dzięki, serdeczne dzięki — kłaniał się w pas redaktor. Odjechał. „Mercedes” — bezwiednie zanotowałem w pamięci. Po chwili zatrzymał wóz i wychyliwszy się przez okienko, zawołał do mistrza:

— Trzeba się zcołgać, żeby dojść do czegoś. Pamiętajcie co napisał Pascal? Człowiek jest ens cogitans, affirmans, negans, dubitans, credens, volens, nolens, pauca intelli-

gens, multa ignorans.

— Patrzcie go, dowcipnie... — sarknął Nataniel.

Wróciliśmy do samochodu mistrza. Skrzynka, na której leżały skarby Baldrycha — pierścienie i łańcuch — była przewrócona jakby ją ktoś kopnął nogą. Kosztowności Baldrycha — zniknęły.

Zjawiła się Czarna Milady, zziębnięta, przeżrana.

— Spotykałam Szczurka. Groził mi. Ledwie mu się wyrwałam. Powiedział, że Szeł jest w pobliżu...

Dopiero teraz spostrzegła przewróconą skrzyneczkę, brak kosztowności i nasze rzadkie miny.

ZABÓJSTWO...

Mistrz oświadczył spokojnym głosem wytrwałego stoika:

— Szeła już tu nie ma. Odjechał, kradnąc skarby Baldrycha. Nie masz gracko zakreślić korba jego samochodu...

— Oszust! Lotr! Złodziej! Bandyta! Wywabił nas krzykiem o pomoc i sprzątnął kosztowności. Zapewne śledził nas przez cały czas, gdy pracowaliśmy w studni. O, zemszczę się na nim — przysięgałem.

— Nic nie rozumiem — wzruszyła ramionami Milady.

— Chce pani wiedzieć kim jest Szeł? — zawołałem z gniewem. — Szeł, to redaktor „Horyzontów”. To jednocześnie morderca Pronobisa i złodziej z pałacu w Borowie.

Nastąpiła między nami przygniatająca cisza. Tylko w krzakach bzu wyśpiewywały słowiki i mdląco pachniał jaśmin. Scisnąłem w dłoni rękopis Baldrycha, jego „DZIEJE SULEJOWSKICH OPATÓW”.

— — — — —

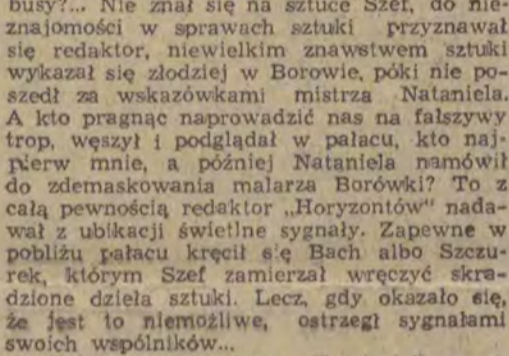
Wystarczyło teraz wywołać z pamięci poszczególne drobne scenki, w których brał udział redaktor „Horyzontów Filatelistyki”; wystarczyło połączyć je ze sobą, jak klocki w dziecinnej łamigłówce — a historia zabójstwa Herakliusza Pronobisa, tajemnicze kradzieże w borowskim pałacu, stawały się jasne i zrozumiałe. To jego ulubione powiedzenie: „Najlepsza partia, to partia pokera. Może zagramy, he?”.

A kto w bibliotece borowskiej położył na globusach karteczkę z napisem: „Nie dotykać antyków”, bo lekał się, że Panienka z Wydawnictwa może przypadkiem dojść do tajemnicy, którą kryły globusy?...

Nie znał się na sztuce Szeł, do nieznajomości w sprawach sztuki przynależał się redaktor, niewielkim znawstwem sztuki wykazał się złodziej w Borowie, póki nie poszedł za wskazówkami mistrza Nataniela.

A kto pragnął naprowadzić nas na fałszywy trop, weszły i podglądał w pałacu, kto najpierw mnie, a później Nataniela namówił do zdemaskowania malarza Borowski? To z całą pewnością redaktor „Horyzontów” nadawał z ubikacji świetlne sygnały. Zapewne w pobliżu pałacu kręcił się Bach albo Szczurek, którym Szeł zamierzał wręczyć skradzione dzieła sztuki. Lecz, gdy okazało się, że jest to niemożliwe, ostrzegł sygnałami swoich współników...

Byłem rozczarowany. Zmaterializowane białe upiory opactwa i Ziy Duch Borowa — ukazały nieciekawą twarz redaktora, małego



hochsztaplera, karcjarza i złodziejzaka.

Schwytano go zaraz następnego dnia w Borowie, wyjmował z globusów skradzione antyki. Tam w Przekleńniku przewidział zapewne, że jednak domyślił się jego prawdziwej roli, a wówczas zawiadomimy milicję. Postawił va banque, zdecydował zabrać z Borowa ostatnią swą zdobycz i czmychnąć z nią gdzieś na zawsze. Wpadł. Albowiem powiedziane jest w Eklezjastes...

Oficer milicji był bardzo uprzejmy i pozwolił mi porozmawiać z „Szełem”.

Redaktor nie wyglądał na zgnębionego.

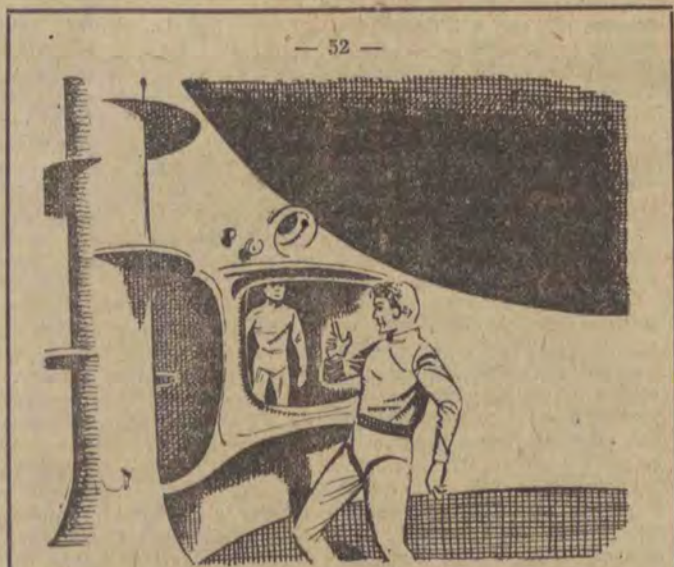
— O, Tomasz — żartobliwie zawołał na mój widok — przybyłeś tutaj, aby nasycić oczy widokiem mego poniżenia?

(Dokończenie obok)

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,- zł, kwartalnie 3,- zł
Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca
Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-379
z oznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17, Z. 2269, VII, 58. M-4.

aspazja

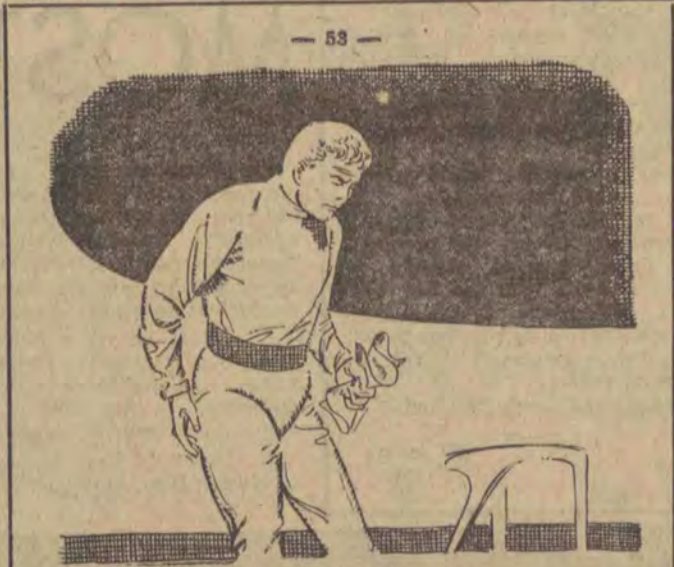
ILUSTR. JBIŚ-GRATKOWSKI



— 52 —

Rozmawiałem z admirałem. Ukazał się na ekranie o umówionej godzinie. Wyglądał bardzo dobrze. Był ożywiony i wesoły. Powiedział mi, że czuje się wspaniale. Ogląda tutaj cuda, o jakich nikomu się nie śniło. Cywilizacja pszczoł przekracza wszelkie oczekiwania. To trzeba zobaczyć samemu. Królowa jest niezwykle uprzejma i gościnna. Czyni wszystko, aby się dobrze czuli. W ogóle jest niezwykła, cudowna, pełna powabu kobieta. Aby poznać tutejszą cywilizację, nie wystarczyłoby i stu lat, więc przedłuża trochę swój pobyt. Może tydzień, może dwa, najwyżej miesiąc. Ale następne grupy niech na nich nie czekają. Niech przybywają od razu. W rakiecie może zostać Carrocci. On przecież od początku nienawidził tych pszczoł, więc chyba nie będą go interesowały. Niech zatem pilnuje rakiety i czeka, aż reszta powróci. Nie należy żywić najmniejszych obaw, bo królowa jest wzorem solidności i szlachetnego postępowania. Nie ulega wątpliwości, że dotrzymania danego słowa. Kto zapragnie wrócić, zawsze będzie to mógł uczynić.

Przeraziły mnie niektóre jego słowa.
— Jak to? — zapytałem. — To całą raketę zostawimy na opiece jednego człowieka? Przecież nie da sobie rady!
— „Gloria” jest tak skonstruowana, że jeden człowiek z łatwością może ją kierować.
— Szaleję za Aspazją — powiedziałem — ale nie jestem jeszcze wariatem. Kocham również moją Teresę. Rozumiem doskonale, że Aspazja to nasz za-

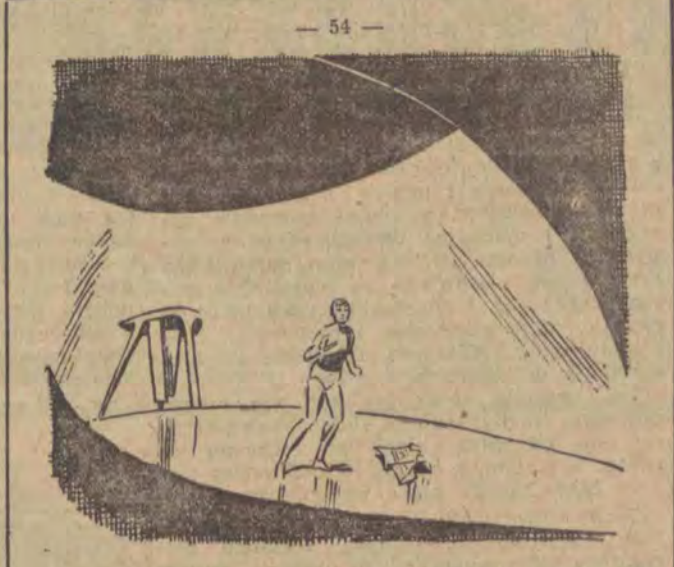


— 53 —

ciękły wróg. Gwarancją naszego bezpieczeństwa to „Gloria” i nasza siła. Dlatego, wspólnie z Carroccim, nie wypuszczę stąd żywego ducha, dopóki nie wróci cała pierwsza grupa razem z admirałem.

Chrzaknął na to jakoś niepewnie i opuścił oczy.
— Obawiam się — rzekł — że będziecie musieli bardzo długo czekać.
— Choćby rok! — oświadczyłem kategorycznie.
Potem rozmawiałem z Olem Freydem. Wyglądał również doskonale i był bardzo szczęśliwy.

— Ten powrót, to ty sobie wybij z głowy — powiedział. — Stąd się nikt krókiem nie ruszy. Czy ty myślisz, że można odejść od Aspazji i tak łatwo opuścić jej królestwo?
— Co to właściwie jest? — zapytałem.
— Ach, to jest ukryte głęboko pod ziemią niezwykle królestwo pszczoł. Opowiedzieć się tego nie da. Przyjedź, to zobaczysz.
— Powiedz Aspazji, że ja nie dam się nabrać. Jeśli w ciągu dwóch tygodni was nie odeśle, zrzucę jej na głowę wszystkie nasze bomby typu S. Opowiedz jej, jak one wyglądają i jak działają.
— Tyś zwiariował! — krzyknął.
— Tak zwiariowałem — odrzekłem — ale powoli wracam do równowagi. Nie poddam się czarom. Cokolwiek uczynię, to nie dla siebie, tylko dla ratowania was. Nie wiady przyczyny, dlaczego mamy jeszcze raz wszyscy zginąć.
Był bardzo zagniewany.



— 54 —

— Jesteś skończony głupiec! — krzyknął i wyłączył aparaty.

Była głęboka noc, gdy Barrot wpadł do mojej kabiny.

— Patrz — krzyknął. — Ten list znalazłem w klubie na stole. Patrz, to jest charakter pisma profesora Carrocciego. Oj, coś straszno się stało. Po co napisał list? Przecież miał dwa kroki do ciebie.

Drżącymi rękami rozerwałem kopertę.
„Drogi Lechu!
Postanowiłem popelnić samobójstwo i w Twoje ręce składam dowództwo nad „Glorią”. Pozostają inni. Jest Wanke, Gronenstraem, Jejack, Sambaba, Kierst, Safranow, Li-Miao-Tai. Jest was razem jeszcze dziesięć tysięcy ludzi — wszyscy są szaleni. Tylko Ty jeden robisz wrażenie człowieka, który nie zwiariował do reszty. Jedyny ratunek to pozostawić tych, co pojechali, ich własnemu losowi. Nic się już im nie pomoże. I gnać co sity z powrotem na Ziemię. Niech tu przyłeci ekspedycja karna i niech się z tą straszliwą Aspazją rozprawi. Tak piszę ostatnim wysiłkiem, bo kocham ją również bez pamięci. Uwiodła mnie tak samo jak i wszystkich innych. Droga do niej — to zdrada, cierpienie i śmierć. Droga bez niej — to tylko śmierć. Wybieram więc śmierć. Ktokolwiek pozostanie przy życiu, niech zawiezie moje ostatnie pozdrowienie dla Ziemi i ludzi. Nie mogłem inaczej postąpić.

Lodovico Carrocci

(d. c. n.)

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powiedziałem twardo:

— Nie, redaktorze pożytecznego miesięcznika. Przybyłem, aby rzucić ci w twarz: jesteś nie tylko złodziejem, ale i mordercą. Zabijeś Herakliusza Pronobisa. Powiedz, co zawinił ci ten dobry szurdek?

Redaktor spoważniał. Coś jakby niepokój przemknął po jego nieciekawej twarzy. Lecz odpowiedź jego pozostawała w tartarbiwym tonie:

— Tomasz, oświadczam ci, że ja nie pozwolę zrobić z siebie kozła ołtarznego. On umarł ze strachu. Ale nie pośledzę do niego z myślą o zabójstwie. Tylko ty, Tomasz, twoja redakcja i wszyscy którzyście go szczerli — odpowiedzialni jesteście za śmierć Pronobisa. Doprowadziście staruszkę do takiego stanu przerażenia, że widok dwóch bliźnich mnichów zdolny był go zabić.

Ukończyłem czytanie rękopisu Baldrzycha. Opisując żywoty opatów, Baldrzych podawał więcej niż ja, szczegóły, w innych jednak wypadkach moje informacje okazywały się dokładniejsze i głębsze. Język Baldrzycha, sposób obrazowania użyty w jego dziele, wydał mi się doskonalszy, bardziej plastyczny, znać się osobiste zaangażowanie piszącego. **DZIEJE SULEJOWSKICH OPATÓW** miały być według zamysłu Baldrzycha oskar-

żeniem cystersów sulejowskich. Demaskowały ich chciwość i fałszerstwa dokonane wobec wielu rycerzy, a szczególnie wobec pradiada Baldaricha-Baldrzycha, rycerza Zbigniewa de Stolna, oszukanego przez opata Piotra. Przypuszczam, że Baldarich-Baldrzych przez dłuższy czas przyjaźnił się z Bernardem, miał wstęp do biblioteki klasztornej, do starych dokumentów cystersów. Zapewne wśród nich odnalazł dokument z procesu między Piotrem i Zbigniewem de Stolna, stwierdzil fałszerstwo — był bowiem człowiekiem uczonym w historii. Fanatyzm i nietolerancja Bernarda, budziły w Baldarichu niechęć i sprzeżiw. Przyjaźń ich przekształciła się w nienawiść. Bernard dowiedział się, że Baldrzych pisze dzieje opatów, które mogą znieślawić cystersów, znieślawić w momencie, gdy próbował przywrócić klasztorowi dawną świetność. I tak narodził się plan unieszkodliwienia Baldrzycha, zdobycia jego majątku, wydarcia mu rękopisu „Dziejów sulejowskich opatów”.

Ostatnia kartka rękopisu zawierała opis sceny pierwszego przesłuchania Baldrzycha przed sądem opata Bernarda.

„...gdy, na wezwanie Bernarda zjawiłem się w sulejowskim klasztorze, postawił on mnie przed kolegami swych mnichów i zapytał:

„Czy prawdą jest, że piszesz „Dzieje sulejowskich opatów”?”

„Tak”, odpowiedziałem.
„Czynisz to dla szkody, czy dla naszej chwały?”, zapytał mnie opat Bernard.

„Czynię to w imię prawdy”, odrzekłem.

Na tym się urywał rękopis Baldrzycha. Powróciwszy do domu z pierwszego przesłuchania, być może odkrył Baldrzych, że skradziono mu książkę, na której wypisał błędnierycze zdanie. Zrozumiał wówczas, że nie uda mu się uciec cało z rąk Bernarda. Zdecydował się na ucieczkę do Francji, ukrył się w skrytce, a skrytkę umieścił w dniu suchej studni, którą zasypał kamieniami.

Wezwany na kolegium redakcyjne, szedłem do gabinetu naczelnego redaktora długim korytarzem wyłożonym czerwonym chochodnikiem. Przed drzwiami sekretarza zszepelił mnie jeden z kolegów.

— Bądź ostrożny, Tomasz. „Mniszka” wie już o twoim przyjaźniu z Pronobisem. Wie, że ukryłeś go w sulejowskim opactwie. Podobno piszesz jakąś bardzo podejrzaną książkę? Nazwał cię obłudnikiem...

Na kolegium zasiadłem spokojny, choć trochę błądy.

KONIEC

JĄDRO ŚWIATŁOŚCI

(Dokończenie ze str. 2)

dów totalitarnych naszego wieku. Przez to, że Conrad przewidział możliwości rozwoju takiej choroby i obnażył jego społeczno-cywilizacyjne źródło, wyzwolił nas niejako z bezradnego kompleksu — z bezradności. W ten sposób jego „Jądro ciemności” rzuciło promień nadziei w tę makabrycznie zawikłaną sprawę, stało się dla szukających wyjścia z matni tragicznych zabiłak naszego wieku znakiem rozpoznawczym, uświadomieniem niebezpieczeństwa. Najgorszym bowiem niebezpieczeństwem dla człowieka jest jego niewiedza o nim. „Jądro ciemności” Conrada przez ujawnienie niebezpieczeństwa zagrożycyzmu w naszej kulturze staje się właśnie dla dalszego istnienia tej kultury zbawczym światłem, wskazującym drogę wyjścia z tego niebezpieczeństwa.

Jest wielce wymowna, niemal symboliczna, scena w omawianym tu utworze Conrada. Statek pływający środkem rzeki Kongo w otoczeniu dzikiej dżungli wyrusza się z ciemności nocnych, nie poranek ise przynosi światła, tylko mgła tak gęsta, że jeszcze ciemniejsza od nocy. Świat czyli dżungla staje się niewidzialna. I wtedy pasażerów tego statku przejmują największy niepokój i strach, a nawet przerażenie. Wskutek czego? Wskutek niewiedzy, co kryje się poza tą mgłą, w tej dżungli, na tej rzece w dalszym jej biegu. A kiedy mgła dzieje w górę i oczom zatrwożonych pasażerów ukazują się gromady dzikich, atakujących statek, wtedy następuje ulga. Dlaczego? Bo ukazało się niebezpieczeństwo, owszem, ale widzialne, uświadomione. Niebezpieczeństwo uświadomione jest mniej niebezpieczne, groźna wiadoma mniej groźna.

Zło rozpoznane i nazwane po imieniu mniej szkodliwe.

W „Placówce postępu” dwaj biali głupcy przez niewiedzę czyli nieświadomość własnej sytuacji zgnotowali sobie najokrutniejszy i haniebny los. „Żyli niby ślepy — pisze o nich Conrad — w wielkim pokoju zdając sobie sprawę (i to niedokładnie) tylko z rzeczy, z którymi się stykali — lecz niezdołni byli absolutnie do ogarnięcia całokształtu zjawisk. Rzeka, las i rozległy kraj tetniący życiem, wszystko to przedstawiało dla nich wielką pustkę. Nawet jaskrawy blask słońca nie rozświetlał im niepojętych zjawisk, które przesuwały się przed ich oczami bez żadnego związku ani też celu”. Po czym dodaje Conrad w związku z niedzielnym procederem wytworzenia kolonialnego: „Na każdej stacji (tej wyprawy handlowej) nazywano skład (kiosk słoniowej) fetyszem, może ze względu na gnęźdzącego się w nim ducha cywilizacji”. Toteż nie litość ani współczucie nad losem tych białych głupców dominują u Conrada, ale podobnie jak i w „Jądrze ciemności” ironia, sarkazm, tłumiona gniewem drwina i pogarda. To nie „placówka postępu” lecz raczej placówka wyrafinowanej zbrodni i samobójstwa cywilizacyjnego.

Czy oba te utwory Conrada są tylko podróznymi relikwiami z wyprawy do Konga? Nie, bo gdyby tak tylko było, nie sprawiłyby tak głębokiego wrażenia i nie odgrywałyby tak wielkiej roli we wstrząsie moralnym, jaki budzą w mnogich rzeszach czytelników nawet po pięćdziesięciu latach od chwili swego powstania. Są to dzieła sztuki. Przedstawiają więc opis sprawy nie tylko realny, co — według terminologii Romana

Ingardena — intencjonalny, i dlatego robią tak niezwykle wrażenie. Sam fakt realny nie wywołuje nigdy takiego wstrząsu moralnego, jak jego artystyczny ekwiwalent. Wiedział o tym Conrad i dlatego w przedmowie napisał: „jądro ciemności” jest przeżyciem, ale przesunięty trochę (choć bardzo nieznacznie) poza fakty które zostały istotnie, dla celu najzależniej usprawnionego, jak sądzę; chciałem uczynić owo przeżycie bliższym umysłom i sercom czytelników”. Co zaś do „Placówki postępu”, to mówi o niej Conrad że: „zblizona jest do rzeczywistości w słownych zarysach”. Czyli że też nie jest ścisłą reporterską relacją. Jest natomiast — dodajmy od siebie — czymś więcej, jest dopełnionym i dopowiedzianym przez wyobraźnię Conrada dziełem sztuki, które polega na takim opartym na rzeczywistości artystycznym zmyśleniu, że dotykając nawet skondensowanego jądra ciemności staje się samo światłością, jego jądrem i źródłem.

Oto istota dzieła sztuki: prawdziwie służącego światu nie przez jego zwięzony opis realny lecz przez poszerzony intencjonalny, wywołujący — żeby użyć znowu słów samego Conrada — „ton bardzo swobodny i przeciągła wibracja, które zostawa w powietrzu i będa dźwięczały w uszach, będą ostatnią nutą już przebrzmia”.

MARIAN PIECHAL

odgłosy str. 7

Zapowiadany,
KOLEJNY ODCINEK
z cyklu
„POCZĄTEK I KONIEC
WIELKIEJ DROGI
CESARSTWA”
ukaze się
W NASTĘPNYM NUMERZE

WANDA KARCZEWSKA

ZMYSŁY KSIĘDZA PREFEKTA

(Początek w poprzednim numerze)

Krzaki porzeczek nad naszymi głowami nagle poruszyły się, ktoś krzyknął, co wy tu robicie? i czyje ręce ucapiły za kark najpierw mnie, a potem Isię. Towarzyski wczoił się pod gałęzie porzeczek i uciekł, a my jak dwa psiki zwisałyśmy, mrugając bezradnie powiekami i machając wyciągniętymi w powietrzu nogami. Potrząsnęto nami kilka razy, potem postawiono na ziemi i tarmoszono za karki. I po chwili znowu padło to pytanie pełne zgorznięcia i oburzenia: „Coście tu robili? Dlaczego ukryliście się nieśkromnie w krzakach?”

Isia opuściła głowę, ja zaś, nie mogąc opanować upokorzenia i złości, zrobiłam to co robi szczeniaki, kiedy go tarmoszą za skórę: ugryzłam, a raczej — odgryzłam się: — My? Zmysły sobie wyrabiałyśmy!

Tego tylko trzeba było siostrze Beacie. Nim zdążyłam się połapać, zostałam popchnięta z rozmachem w miejsce zwane klatką piersiową i odrzucona do tyłu. Głowa moja odbiła się boleśnie o pień gruszy. Jednocześnie posłyszalam:

— Bezczelna! Krnąbrna i bezczelna! Parszywa owca! Marsz do szpitalni! Nie wychodzić sztamtąd!

Isię zatrzymała przy sobie. O, wiedziałam dlaczego. To nie to, że Isia, przestraszona, pokorniała natychmiast jak trusia. Wiedziała, dlaczego to tylko ja byłam „parszywa owca”. Moja matka była biedna, umieściła mnie na tej pensji dla bogatych dziewcząt, uzyskawszy dużą zniżkę w opłatach. Byłam poniekąd na łasce siostr. Gdyby nie ja, byłaby na moim miejscu dziewczynka, która dostatecznie placiłaby za swoje utrzymanie i naukę. Byłam biedna, powinnam być pokorna. Odczułam to nie pierwszy raz.

Pomaszerowałam do szpitalni. Isia przeszła niebawem. Myślałyśmy, że to wszystko skończy się parogodziną karą odseparowania od reszty dziewczynek i karą milczenia. Byłyśmy naiwne. Popełniłyśmy, jak się okazało, jakiegoś straszliwego przestępstwa, które miało na nas ściągnąć burzę z konsekwencjami „życiowymi”.

Kolacje przyniesiono nam do szpitalni. Spałyśmy tej nocy pod nadzorem jednej z siostr, której łóżko, osłonięte wysokim parawanem z białego płótna, rozdzielalo dwa nasze posłania. Miałyśmy nakazane absolutne milczenie i, oprócz modlitw za dusze potępionych za grzech nieczystości, powtarzanych za siostrą, żadne słowo z naszych ust nie wyszło. Długo nie mogłam zasnąć — z początku zdziwiona, potem coraz bardziej grzeźna w jakiejś dusznej mgławicy domysłów i lęku. Kilka razy udało mi się zdrzemnąć, skuliwszy się po swojemu w kłębek i naciągnawszy sobie koldrę na ucho. Od dziecka mogłam zasypiać tylko w ten właśnie sposób. otuliwszy się koldrą, jak kurczak skrzydłem kwoki. Ale za każdym razem, gdy oddalałam się od krawędzi jawy, odpływając w sen, siostra wstawiała, odchylała koldrę, wyciągała mi ręce na wierzch i, nie przestając szeptać modlitw, mówiła:

— Zdrowaś Mario, łaskis pełna... rece masz trzymać na koldrze, nie pod koldrą... Pan z Toba... grzeszniecko nieposłuszna... wyciągaj ręce natychmiast... błogosławionaś Ty między niewiastami... czekaj, strawi cię ogień plekiełny za twoje grzechy...

Rano, po przyjeździe do klasy, zorientowałyśmy się, że dziewczynkom także nie wolno rozmawiać z nami. Nauczyciele przy wywoływaniu uczennic do tablicy omijali nasze nazwiska, a kiedy sadzili, że nie patrzmy na nich, szukali w naszych rysach miazmatów straszliwego zepsucia moralnego. O tym, że byliśmy „straszliwie zepsute”, dowiedziałyśmy się z przesłanej nam cichaczem karteczki przez jedną z koleżanek, potem z szeptu jednej ze starszych siostr, która mijając nas podczas pauzy na korytarzu, odezwała się ze złości: „Boże, takie melutkie, zdawałoby się, niewinne aniołki, a takie zepsute! Gdzie one się tego nauczyły?!”

Zachodziłam w głowę, cośmy takiego zrobiły, ale moja wyobraźnia nie przekraczała mojego doświadczenia, a moje doświadczenie było tylko na miarę lat jedenastu. Zastanawiałam się, co może być zepsuciem: czy łaskotki, których porcję dałam Isi za przestraszenie mnie gąsienicą, czy fakt, że uciekłyśmy w krzak porzeczek, czy też nasze postanowienie wyrabiania sobie zmysłów, powzięte wbrew woli i wiedzy siostr. Coś w tym wszystkim musiało być. Zamyślałam się nad tym, ale nie wymyślić nie mogłam. Wiedziałam, tylko, że w istocie rzeczy nic złego nie zrobiliśmy, że gdyby dano nam dojść do słowa, lub gdyby sprawę rozpatrzył ktoś taki, jak pan Zarebski, ojciec Isi, wszystko okazałoby się znacznie bardziej proste, a my — oczyszczone od zarzucanych nam grzechów. Toteż pod koniec dnia, gdy Isia, zalamana wstrętem i pogardą, okazywana nam przez otoczenie, szepnęła: „Chodźmy przeprosić siostrę Beatę

i przyrzec poprawę”. Ja zawołałam zdumiona:

— Za co przeprosić?

Isia rozglądała się, czy nikt nie widzi nas, rozmawiających, wbrew zakazowi siostry Beaty, po czym wyjaśniła:

— Że byliśmy niegrzeczne...

— Głupia — szeptałam ja z kole — jak się jest niegrzeczna, to się idzie do kąta albo łapie się dwóje ze sprawowania. A my? Przecież wiesz, co one o nas mówią. My jesteśmy — zepsute! Do szpiku kości! Rozumiesz?

— Nie, a ty rozumiesz?

— Widziałam jakiego zepsute od środka? To właśnie tak... do wyrzucenia... Rozumiesz teraz?

— Nie... — Izy pokazały się w oczach Isi — ale wiem... spotka nas coś strasznego...

— No co?

— Wyrzucą nas ze szkoły... Każą przyjechać rodzicom i zabrać nas do domu. Zrobią nam taką opinię, że żaden klasztor, żadne gimnazjum nas potem nie przyjmie. Struchlałam. Przed oczyma stanęły mi gęsi, które miałam paść, jeśli się nie będę dobrze uczyła i sprawowała, szwalnia krawiecka, gdzie miałam iść terminować, jeśli będę krnąbrna wobec nauczycieli. Tak mi zawsze obiecywała mama.

— Nie! — krzyknęłam nagle. — Nie!

(D. c. n.)



EKRANIK KULA, CZY NOWA BOMBA?

Dwaj młodzi reżyserzy francuscy Charles Gerald i Michel Deville rozpoczęli już realizację filmu o niezbyt pokojowym tytule „Kula w armacie” (Une balle dans le canon). Główną rolę kobiecą obejmie siostra B. B. Mijanou Bardot, która w filmie nosić będzie imię Brigitte. Krytycy wróżą Mijanou dużą przyszłość artystyczną. Jest zdolna, pracowita i bardzo wrażliwa. Potrafi świetnie płakać, podczas gdy jej siostrze nawet rzeczywiste zmartwienie nie mogą wycisnąć łez z oczu. A zmartwienie Brigitte nr 1 — to... Anette Stroyberg (patrz zdjęcie umieszczone wyżej), która zastępuje ją u boku (ex-męża Brigitte) — Vadima.

SKAT.

Następny numer „Odgłosów” ukaże się w sprzedaży normalnie w czwartek, w normalnej objętości 12 stron

Czy bierzesz udział w 3 Konkursie „Odgłosów” pl. „Poloneza czas zacząć”? Termin nadsyłania odpowiedzi na Konkurs upływa z dniem 5 sierpnia br. Jeżeli nie nabyłeś numeru konkursowego (21) możesz go otrzymać w sklepie „Ruchu” przy ul. Piłkowskiej 95.

Korespondencja z Paryża

MOST

Tematowi na imię „Most na rzece Kwai”. Temat to co najmniej wyjątkowy, osnuty atmosferą sensacji, słowem temat niezwykły. Na tę niezwykłość składają się przede wszystkim następujące cechy:

1. „Most na rzece Kwai” czyli film reżyserii Davida Leana — zdobył sobie siedem Oskarów, co jest wydarzeniem dosyć niecodziennym.

2. Dłume! „Most na rzece Kwai”, film, którego u nas



jeszcze nie ma, i którego jak można przypuszczać — długo jeszcze nie będzie, już na kredyt zdobył sobie także... serca polskich kinomanów. Wystarczyło kilka napomknięć w prasie, wystarczył pierwowzór literacki drukowany w odcinkach przez roztropny „Przekrój” i melodia gwizdanego marsza, często nadawana przez radio.

3. „Most na rzece Kwai” uznany jest za znakomitą adaptację, chociaż w sposób zasadniczy różni się od powieści. O ile bowiem książka pisana jest językiem oschłym, jak gdyby była dokumentem, kroniką obozu dla jeńców wojennych — tak film oddał tę samą sytuację w sposób nad wyraz emocjonalny, zaangażowany. Można tu jednak mówić o daleko posuniętej dyskrekcji i niedomówieniu. I tak na przykład popularny marsz gwizdany pojawia się w filmie tylko dwu-

li nie będzie umiał zabić człowieka. Pościg trwa dłuższą chwilę, wreszcie Japończyk pokazuje się z jakiegoś krzaka. Chłopak, będący bliżej, waha się przez moment, dokąd dowódca go nie wyreczy. Ale ta chwila niepewności pozwoliła Japończykowi na oddanie strzału, który się potem zemści na losach całej wyprawy. Tymczasem jednak Hawkins, ów niewzruszony na pozór dowódca komandosów — patrzy na zabitego przez siebie żołnierza. Obok na ziemi leżą rozsypane fotografie, przedstawiające kobietę o skośnych oczach i dzieci. Tak — niezależnie od identycznej idei całego dzieła, w każdym fragmencie „Mostu na rzece Kwai” znajdujemy splecione z sobą trzy elementy: studium psychologiczne, wątek sensacyjny i zdumiewający finale i wreszcie dominujący nad wszystkim akcent antywojenny.

NA RZECE

Warto także zwrócić uwagę na ciekawostkę o charakterze bynajmniej nie technicznym. Otóż „Most na rzece Kwai” nakręcony jest systemem „Cinemascope”, czyli na szerokim ekranie. Mimo to twórcom udało się pokazać szczegóły i rekwizyty w dużym zbliżeniu i zrecnie skierować na nie uwagę widza. Podkreślam to, bo zwykło się mówić, że szeroki ekran pozbawia kino tych możliwości.

Jak wynika z sumy powyższych uwag, omawiany film stanowi niewątpliwie wydarzenie w kinematografii światowej. O ile jednak filmy o wysokich walorach artystycznych nie zawsze są życiowe

Warto także zwrócić uwagę na ciekawostkę o charakterze bynajmniej nie technicznym. Otóż „Most na rzece Kwai” nakręcony jest systemem „Cinemascope”, czyli na szerokim ekranie. Mimo to twórcom udało się pokazać szczegóły i rekwizyty w dużym zbliżeniu i zrecnie skierować na nie uwagę widza. Podkreślam to, bo zwykło się mówić, że szeroki ekran pozbawia kino tych możliwości.

KWAI

przyjmowane przez ogół widzów, tak i pod tym względem „Most na rzece Kwai” zdaje się być zjawiskiem nieomal bez precedensu. Ten film, wyświetlany obecnie w wielu miastach zachodniej Europy, cieszy się wprost niebywałym powodzeniem, zrecnie zresztą wykorzystanym przez producentów płyt i pocztówek z nagraniem na obrazku dźwiękiem. Wydaje mi się, że nasza publiczność kinowa winna być poinformowana, czy przewidziany jest przez Radę Repertoriową zakup „Mostu na rzece Kwai” a jeśli tak, to kiedy można spodziewać się pojawienia tego filmu na ekranach. Wspomniana uprzednio przez mnie popularność tego tytułu w Polsce zdaje się świadczyć, iż ten film o ciekawym jest przez naszą widownię z olbrzymim zainteresowaniem. Ale owo zainteresowanie, jak każde inne — nie trwa przecież wiecznie. Nasze czynniki filmowe winny mieć to na uwadze. W przeciwnym wypadku „Most na rzece Kwai”, podobnie jak to już u nas z innymi filmami bywało — stanie się przytłaczającą musztardą po obiedzie.

SYMON LECH

